Nr. 164. Lwów — Piątek dnia 18 Lipca. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego. [illegible]

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i przedpłatę miejscową przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sołtyki w Lwowie, Pasaż Hausmana l. 9. Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 6 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenie na całe numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . . . 60 h.

Dziś: 18	św. Szymona z L. 18	Atanazego
Jutro: 19	św. Wincentego 19	Tomasza Ap.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o g. 4 m. 24. Zachód „ „ 7 m. 44.

Długość dnia godzin 15 minut 20. Ubyło dnia od wczoraj 2 min.

Z obozu socyalistycznego.

Otrzymaliśmy zwój pisemek, wydawanych potajemnie dla socyalistów w Królestwie Polskiem, na Litwie i w Rosyi. Z nich nie można wyrobić sobie dokładnego pojęcia o sile tego obozu, zawsze jednak dają one pewne wyobrażenie o jego organizacyi i o rodzaju toczonej przezeń walki. Są to pisma drukowane, hektografowane, odbijane na cyklostylu, a wychodzą w językach polskim, rosyjskim, niemieckim i w żargonie chusytów. Jedne z nich nazywają się organami „socyalnej demokracyi", inne — organami „P. P. S.", to znaczy polskiej partyi socyalistycznej, jeszcze inne są „wolnem słowem rewolucyjnych socyalistów", najwięcej jednak pisemek wydaje „Bund", czyli „związek żydowskich socyalistów w Rosyi". Zdawać się może, że główną armię socyalistów w krajach pod panowaniem rosyjskiem stanowią żydzi; oni są najlepiej zorganizowani, najśmielej występują, najdokładniejsze mają wiadomości o wypadkach i najwięcej wydają pisemek. Jeżeli wyobrazić sobie socyalizm jako drzewo, to pniem jego są żydzi, konarami rosyanie, a polacy tylko młodą gałęzią. Ze wszystkich pisemek niepodobna wyciągnąć żadnego zgoła wniosku o pretensyach tego obozu do ogółu ludności, do społeczeństwa, albo do przedsiębiorców. Pod tym względem zupełnie one się różnią od pism socyalistycznych w zachodniej i środkowej Europie, bo podczas gdy te głównie walczą ze społeczeństwem, z politycznemi stronnictwami, ze związkami zawodowymi, wreszcie z niemiłemi sobie osobami i z duchowieństwem, — tamte ścierają się tylko z czynownictwem, z policyą i pośrednio z autokratyzmem. Gdyby nie wspólna z zachodnio-europejskimi socyalistami metoda czernienia przeciwników, to można byłoby powiedzieć, że ci rosyjscy, polscy i żydowscy nie są właściwie socyalistami, lecz tylko rewolucyonistami bardzo podrzędnego gatunku; podrzędnego dlatego, że nie rozwijają swych zasad, jak dawniej Hercen, Bakunin, Ławrow, albo Stepniak, lecz głównie użerają się z czynownictwem i przeciw niemu podburzają robotniczy ogół.

Po polsku — jako organy „P. P. S." — wychodzą *Robotnik* w Warszawie, czasami w Częstochowie, a czasami znów w Łodzi, — gdzie się łatwiej uda wydać numer, a w Londynie *Przedświt*. Po rosyjsku — *Zorza* i *Iskra*, wydawane nie wiadomo gdzie; redakcye tych pism proszą swych czytelników, aby listy i pieniądze przesyłali pod adresem J. H. W. Dietz Nachfolger, Stuttgart, a dopiero na drugiej kopercie, włożonej do pierwszej z powyższym adresem, pisali, że posyłka przeznacza się dla *Zorzy* lub *Iskry*. Tak samo nie wiadomo, gdzie wychodzi litografowany świstek „Z materyałów rewolucyjnej Rosyi" i hektografowane pisemko formatu małej ćwiartki „Biuletyn". Tylko jeden dzienniczek „Ostatnie wiadomości" podaje swój londyński adres.

Natomiast pisemka żargonowe są przywiązane do pewnych miast, jako lokalne organy socyalistycznej prasy. Jest ich mnóstwo, a oto ich tytuły: Dwynsker Flugbletteł (w Dynaburgu, czyli Dźwińsku), Minsker Flugbletteł, Łodzerbletteł, Arbeiter Sztymme, Fraihaitsglock, Vorwarts i *Bund*, który obok ma rosyjski tytuł „Sajuz", to znaczy „Związek". Zdaje się, że *Iskra*, choć wychodzi tylko po rosyjsku, jest także organem wyłącznie żydowskich socyalistów, bo zajmuje się prawie jedynie żydami i przedrukowuje wiadomości z owych lokalnych „blettełów". Z tego pisma dowiadujemy się, że niedawno w Łodzi dawała teatralne przedstawienia rosyjska trupa pani Jaworskiej, żony księcia Boratyńskiego, którego petersburski dziennik *Siewiernyj Kuryer* został w roku przeszłym zawieszony przez rząd; otóż żydzi zrobili podczas przedstawienia demonstracyę temu księciu; krzyczeli: „precz z carem!", „niech żyje rewolucya!" i t. d.; z galeryi posypały się na salę świstki rewolucyjne, potem zaczęła się bijatyka i Rosyanie, którzy byli w mniejszości, uciekli; za to na drugi dzień w ogrodzie miejskim policya rzuciła się na publikę i zbiła wielu, a uwięziła kilkudziesięciu samych żydów i żydówek, bo to było „wielkie spacerowanie" z powodu drugiego dnia świąt „szwues". W Mińsku rabin podczas przemowy w synagodze nazwał cara „miłościwym"; wnet podniosły się wrzaski, że on nie jest miłościwym, lecz... zupełnie inny; dano znać policyi, wpadła więc do bożnicy żandarmerya z szablami, wpadli z nahajkami kozacy — i była zwyczajna w takich razach robota, a potem wielu powędrowało na Sybir. W Berdyczowie policmajster pozwolił syonistom odbyć zgromadzenie, a gdy oni się zebrali, otoczył budynek kozakami i wszystkich zabrał, mówiąc, że po to tylko pozwolił na zgromadzenie, aby odrazu wyłapać buntowszczyków; niektórym jakoś udało się uwolnić, ale wielu dotąd siedzi. Podobnych opisów jest ogromne mnóstwo, a we wszystkich występuje po jednej stronie czynownictwo ze swą policyą i kozakami, po drugiej zaś — żydowscy socyaliści. Mają też oni już swego męczennika, owego Hirsza Lekerta, którego za zamach na gubernatora wileńskiego von-Wahla stracono na szubienicy. Opis tracenia podano w czarnych obwódkach i zapewniono, że Lekert szedł na śmierć spokojnie, z wesołym uśmiechem, a od rabina odwrócił się „z pogardą". Zaraz potem uwięziono jeszcze wielu żydów, samych robotników i jednego studenta politechniki kijowskiej Ruwima Mickuna.

Słowem, największą socyalistyczną ruchliwość okazują żydzi. Oni też po straceniu Lekerta wystosowali odezwę do wszystkich na świecie socyalistów, pełną skarg na dzikość rosyjskiego czynownictwa, oraz inną odezwę do „wszystkich żydowskich robotników i robotnic", zalecającą im, aby odtąd tchnęli jedną myślą zemsty.

Ale nie ma zgody w socyalistycznym obozie. *Iskra*, *Zorza* i inne z tej kategoryi pisemka ciągle polemizują z londyńskim *Przedświtem* i z *Robotnikiem* o to, kto lepiej pracuje dla socyalistycznej sprawy, kto zaczepia policyę i kto się nie boi. Zdaniem żydowskich socyalistów, polscy stroją się w cudze piórka, a co jeszcze gorsze, nie mogą zupełnie się pozbyć „nacyonalizmu". O ten głupi przesąd nie posądza *Iskra* „szanownych kierowników „P. P. S.", lecz znajduje, że ogół P. P. S. nie jest dostatecznie wyszkolony. Dlatego niech się londyński *Przedświt* nie dziwi, że szczerzy polscy socyaliści należą do organizacyi żydowskiego Bundu, czyli „Sajuzu".

Lecz są jeszcze socyaliści antisemiccy — gatunek niezmiernie dziwny i nienaturalny. To jest odrębna grupa, zapewne nieliczna i niewpływowa. Niepodobna ona do t. zw. „chrześcijańskich socyalistów", bo religii nie uznaje. Zdaje się, że ta grupa powstała na gruncie rasowych niechęci. W ostatnich czasach zaznaczyła ona swe istnienie odezwą, wyszydzającą „Bund" żydowskich socyalistów. Powiada więc: „Bund odgrywa rolę Hamleta, ale właściwie jest nieśmiertelnym Szajlokiem. Czy wiecie, co wam proponuje ten Hamlet, który niby się odwrócił od Mojżesza? Ni mniej ni więcej, tylko chce nas wszystkich zżydzić. W tym celu odbyły się wszystkie żydowskie rewolucye: podczas francuskiej wielkiej wodził rej żyd Marat, Carnot, który naprawdę nazywał się po żydowsku Sadi, Perier i wielu innych, którzy kierowali gilotyną z ukrycia. To samo było w roku 1848. Wszędzie żydzi przelewali krew nieżydowską w imię braterstwa, które tak rozumieli, że żydzi będą wyzyskiwali nie-żydów. Kto tego nie widzi, ten jest kwadratowym niedołęgą. Nie może być braterstwa między Ablem i Kainem". Dalej zaś odezwa tłómaczy jak należy rozumieć prawdziwy socyalizm, który nie zamieni pana-czynownika na pana-żyda, lecz da wszystkim raj na ziemi.

Z tego szkicu stosunków socyalistycznych w krajach pod panowaniem rosyjskim wynika, że socyalizm tamtejszy o wiele jawniej, niż zachodnio-europejski jest kierowany przez żydów.

Korespondencye.

Paryż w lipcu.

Gabinet p. Combes, któremu przywódzca socyalistów Jaurès przepowiada, jak się zdaje, zbyt optymistycznie czteroletnie istnienie, postawił sobie początkowo jako program jak najmniej występować czynnie na arenie politycznej. Półurzędowy *Matin* wyłuszczył powody takiej wstrzemięźliwości, dowodząc, że koalicya deputowanych radykalnych, socyalistycznych i umiarkowanych, czyli t. zw. *bloc* republikański, musiałby się rozbić, gdyby wniesiono jakąś reformę, należącą do programu radykalno-socyalistycznego, gdyż 52 umiarkowanych republikanów, należących do tej koalicyi, nie dałoby się skłonić do głosowania za nią. Na razie więc p. Combes zaniechał reform radykalnych, a celem przypodobania się żywiołom radykalnym, ograniczał się do nękania zakonów i zamykania szkół zakonnych na podstawie nowej ustawy o kongregacyach. Ale trudno było na tem poprzestać, i ministeryum przystąpiło do jednego punktu programu socyalistów, do dwuletniej służby wojskowej. W praktyce przeprowadzenie tego ograniczenia służby w armii o rok jeden redukuje się dla rządu do kwestyi pieniężnej. Bo wszyscy tutaj o tem są przekonani głęboko, że uszczuplać siły zbrojnej Francyi nie wolno. Wynosi ona obecnie na stopie pokojowej 575.000 ludzi. Aby zastąpić ubytek, wynikający z dwuletniej służby, trzeba przez zaofiarowanie wysokiego żołdu skłaniać corocznie, według najskromniejszego obliczenia, 50 do 75 tysięcy ludzi, aby służyli jako ochotnicy.

Celem pokrycia zarówno tych wydatków, jakoteż zeszłorocznego i tegorocznego deficytu, chwycił się rząd sposobu na razie dość wygodnego, mianowicie konwersyi renty z $3^1/_2$% na 3% w połączeniu z pożyczką, wynoszącą aż 1.200 milionów franków. Niezawodnie rząd pieniądze te uzyska, bo jakkolwiek skarb państwa jest ubogi, to we Francyi kapitałów jest dużo bardzo, tylko, że one unikają ile możności światła dziennego w obawie przed teoryą demokratyczno-socyalistyczną, że płacenie podatków powinno być tylko rzeczą bogatych, a olbrzymia większość ludności powinna żyć ich kosztem. Charakterystyczne są np. pod tym względem bilanse tak poważnej finansowej instytucyi, jak „Crédit Lyonnais", które są również fałszywe, jak rachunki pani Humbert, choć w odwrotnym kierunku. Pani Humbert udawała bogatą, „Crédit Lyonnais" udaje ubogiego. Ile np. zakład ten zarobił w roku zeszłym? Wiedzą o tem jego kierownicy, ale zresztą nikt. W ciągu tego roku zakład nabył w środku miasta kilkanaście kamienic, przylegających do jego głównego gmachu na bulwarze des Italiens, tak, że posiadłości jego sięgają obecnie aż do rue du Quatre Septembre. Ale w bilansie wartość ogólna nieruchomości, oszacowana przed laty wielu na 30 milionów, pozostała niezmieniona. Tak samo udział tego zakładu w nowej kompanii panamskiej, tej, która odstąpić ma obecnie swoje prawa Amerykanom, został wniesiony do rachunków i utrzymany w sumie jednego franka. Jeżeli układ ze Stanami Zjednoczonymi przyjdzie do skutku, udział ten wyniesie podobno 14 milionów, które znowu gdzieś będą schowane—przed oczyma demokracyi. Miłe stosunki!

Jeszcze jaskrawsze światło na moralność finansową, jaka tu panuje, rzuca fakt inny. Oto instytucya t. zw. *rente viagère*, założona przez panią Humbert, zgłosiła upadłość w wysokości 5 mil. franków. Sumę tę pokrył notaryusz Lanquest, który wziął udział w organizacyi tej instytucyi, a pieniądze na to wziął z t. zw. „czarnej kasy" zasilanej przez wszystkich notaryuszy paryskich i będącej rodzajem funduszu asekuracyjnego na wypadek jakiegoś skandaliku w świecie notaryuszów. Na czarną tę kasę składają się więc wszyscy notaryusze paryscy i od każdego interesu, jaki robią, wpłacają do niej pewien procent. Tym sposobem powstaje dość wielka kwota, mogąca w danym razie nawet i kilku milionami pokryć nadużycia którego z panów notaryuszy. Ale niemoralność tej „kasy czarnej" tkwi w tem najprzód, że ów procent opłacany do niej od każdego interesu, wrachowują notaryusze w honoraria stronom; tym sposobem za nadużycia notaryuszy płacą nie oni, ale publiczność, a następnie w tem, że kasa odpowiada nie za przypadek, który może się trafić jakiemuś notaryuszowi, ale za nadużycia, jakie on popełnia, a wskutek tego samo istnienie tej kasy czarnej zachęca notaryuszy do popełniania nadużyć.

Dość ważną sprawą był załatwiony niedawno spór między p. Combes a ministrem spraw zagranicznych p. Delcassé co do obsadzenia posady gubernatora Indo-Chin. Dotychczasowy gubernator p. Doumer począł występować zbyt śmiało i energicznie przeciw Anglii. Stosunki tamtejsze stały się obecnie nader drażliwe. Rząd syamski, popierany przez Anglię, począł naruszać przywileje francuskie, co nawet skłoniło generalnego konsula francuskiego w Bangkok, rodaka naszego, p. Kłobukowskiego, że zażądał swego odwołania. Zważywszy zaś, że w razie starcia wojennego Francya, mimo wzmocnionej niedawno na tamtejszych morzach eskadry wojennej, byłaby odcięta przez flotę angielską od azyatyckich posiadłości i że lord Kitchener wybiera się do Indyj celem objęcia komendy nad armią indyjską, sytuacya przedstawia się dość groźnie. Wobec tego zrozumiałem było stanowisko p. Delcassé'go, który nie chciał dopuścić mianowania gubernatorem kandydatów niezręcznych, lub nieokrzesanych, jak p. Baudin, Mesureur i inni, lecz uparł się przy swoim kandydacie, dotychczasowym pośle w Chinach p. Beau i postawił na swojem. P. Beau jest *persona grata* dla Anglii, należy więc przypuszczać, że uda mu się zażegnać konflikt.

W salonach paryskich wystąpili w roku bieżącym po raz pierwszy przed publicznością paryską dwaj wybitni artyści-rzeźbiarze Polacy: Wacław Szymanowski i Biegas.

Szymanowski, znany przez długi czas jako pierwszorzędny malarz, laureat na wystawie powszechnej 1889 roku, gdzie otrzymał jeden z niewielu dyplomów honorowych, przedstawia wyjątkowy w historyi sztuki przykład. Syt sławy i zaszczytów, zarzuca pędzel, zabiera się do gliny, pracuje całe lata w ciszy, tworzy dzieła pełne fantazyi i oryginalności, ale chowa je zazdrośnie przed okiem widzów, bo pragnie dojść wprzódy do stanowczego, prawdziwie francuskiego panowania nad techniką. Grupa „Macierzyństwo" wystawiona w salonie urzędowym, ma być świadectwem tego majsterstwa. Istotnie, trudno jej zarzucić jakie błędy. Linie przyjemne, pewność w modelowaniu — wogóle wszelkie zalety tradycyonalnego rzeźbiarstwa. Podobno Szymanowskiemu chodziło właśnie o pokazanie sędziom francuskim, że umie robić podług zasad, które oni uważają za najlepsze. Egzamin powiódł się doskonale, gdyż „jury" odznaczyło „Macierzyństwo" zaszczytną wzmianką, to jest najwyższą nagrodą dla debiutanta.

Biegas zwrócił tu niemniej żywą, jak w kraju, uwagę. Do pracowni jego chodzą całe procesye ciekawych, przeważnie cudzoziemców. Ogólne mniemanie przypisuje mu talent dziki jeszcze, żywiołowy, naiwny, szamocący się w okowach formy, ale potężny, zuchwały, dążący do nowych wielkich dróg. W pracach jego uderza pewien zakrój filozoficzny, a obok tego przyznać trzeba monotonność wizyi. Biegas obiera kolosalne, kosmoloigczne tematy. Tworzy prawie nieświadomie. Rozpiera go siła nieznana, której poddaje się niewolniczo. Stąd też w kompozycyach jego pełno rzeczy niezrozumiałych, których sam autor nazwać nie umie, wyjaśnić nie potrafi.

W przeciągu dwóch miesięcy zapełnił pracownię pięciu dziełami, tworzonemi z piorunującą szybkością. Wzbudzały one taki podziw, że Biegas z całą ufnością i... naiwnością zawiózł je do salonu „Towarzystwa narodowego", które przecież niegdyś uchodziło za secesyę i obiecywało rewolucyę w sztuce. Nie wiedział o tem, że w Paryżu wszelkie nowatorstwo staje się nazajutrz najupartszą rutyną. „Towarzystwo narodowe" przyjmuje tylko od członków swych po kilka dzieł, inni cieszyć się winni, gdy dostaną miejsce na jeden utwór. W dziale rzeźby panuje tam zresztą tradycya wielkiego Rodina, którego zmysłowa rzeźba jest najskrajniejszem przeciwieństwem ideologicznych pomysłów Biegasa. Z pięciu rzeźb przyjęto mu jedną, portret Olgi Boznańskiej; cztery inne przewiózł natychmiast do salonu „Niezależnych".

Portret Boznańskiej jest dziwną maską psychiczną znanej malarki. Zmęczenie, jakaś bolesna rezygnacya, dyskretny smutek do tego stopnia występują na twarzy, że materyalna powłoka ginie zupełnie. U „Niezależnych" ma Biegas cztery rzeźby: „Chopin", „Świat", „Zmrok" i „Miłość śmierci". Francuzi stawiają tym utworom dwa zarzuty: że są zbyt filozoficzne, za mało rzeźbiarskie i że są „nieprzyjemne". Wszystkim jednak imponuje siła wyobraźni nadzwyczajna.

Zainteresowanie się naszym artystą okazało się nawet w prasie: świetne, illustrowane czasopismo angielskie „The Studio" dało doskonałe odbitki rzeźb Biegasa, a tutejszy miesięcznik *La Plume* obiecuje poświęcić mu wkrótce całą zasadniczą część numeru.

Do szczególnie wybitnych zaliczyć także należy tegoroczne portrety pędzla Olgi Boznańskiej. Jest ich cztery: trzy męskie i jeden kobiecy. W technice nie przynoszą może nic nowego; Boznańska weszła w pewną manierę barw, które nadmiernie ukochała. Ale w portretach, o których mowa, te kolory niekiedy brudne, harmonizują przedziwnie z wyrazami twarzy i zatrzymują uwagę najbardziej powierzchownych widzów.

Reszta malarzy polskich niknie w powodzi miernot.

Mały udział artystów polskich w tegorocznych salonach równoważą do pewnego stopnia utwory francuskie, oparte na tematach polskich. Niezmierną popularność Sienkiewicza stwierdza jeszcze raz salon urzędowy. Trylogia nie weszła jeszcze do szerokich kół czytelniczych; ale „Quo vadis" znalazło się zapewne we wszystkich pracowniach artystów, zwłaszcza rzeźbiarzy. Obraz Lygii na żubrze natchnął dwóch artystów. P. Emil Lafont wystawia grupę pt. „Na arenie". Jest to chwila, kiedy Ursus skręca łeb żubrowi. Lygia zwisa z rogów zwierzęcia na ziemię, a Ursus z twarzą straszliwie skrzywioną, dobywa resztek sił. Grupa naturalnej wielkości, odznacza się zwykłemi cechami szkoły francuskiej: dobre modelowanie i chłód. Podobne wrażenie sprawia również druga Lygia, przywiązana do rogów żubra, a skomponowana przez p. E. Gauchera pt. „Ursus i żubr". P. Savine wystawia bardzo piękną i bardzo eteryczną „Lygię" ze złożonemi do modlitwy rękoma. P. Hoest dał bronzowy biust aktora Desplanques'a w jednej z ról w „Quo vadis". W malarstwie plon sienkiewiczowski mniej obfity. Ujawnia się raczej w malowaniu aren i cyrków rzymskich, niż w bezpośrednich ilustracyach. Jest jedyny tylko obraz z „Quo vadis": „Lygia u Akte" przez p. Chabannes La Palice, dzieło znacznych rozmiarów, przypominające w kompozycyi Siemiradzkiego, ale o gorących kolorach.

Wypadki wrzesińskie podały myśl wielkiego obrazu (5 metrów wysokości na 3 szerokości) młodemu wychowańcowi tutejszej szkoły sztuk pięknych p. Plauzeau. Jest to obraz o symbolizmie wymownym, wraża się w pamięć widza i sprawia wrażenie wielce sympatyczne.

---

15)

BLANKA HALICKA.

Obok szczęścia

Powieść.

(Ciąg dalszy).

Drugiego dnia wieczorem, po długiej rozmowie z Romanem w ślicznej zimowej cieplarni, położonej tuż obok salonu, Olga powróciła do gości cała wzburzona.

Na ustach miała zły jakiś uśmiech i dziwne błyski w oczach.

Rozmowa ta z narzeczonym rozpoczęła się od uśmiechów, gorących słów miłości i pocałunków, a skończyła się niezgodą i gniewem.

Raz jeszcze próbowała Olga wytłómaczyć Romanowi, że ten upór jego, by ze ślubem czekać aż on będzie sam miał zapewniony chleb w ręku, to utopia tylko i dziwactwo i raz jeszcze rozbiła się o niezłomną jego siłę woli.

O! wolę tę musiał mieć żelazną, by nie uledz tym spojrzeniom proszącym, tym cudnym uśmiechom ukochanej, gdy go tak ślicznie prosiła, żeby dla marnej idei nie opóźniał ich wspólnego szczęścia.

Nie uległ jednak, choć całował gorąco jej usta i zapewniał, że dla niej poświęciłby wszystko, prócz tej osobistej godności i dumy swojej, — i Olga odeszła milcząca, zraniona do głębi w próżności swej kobiecej, lecz bezsilna wobec jego woli.

Było to pierwsze starcie tych dwóch natur samowolnych, gwałtownych, nieugiętych, z których żadna ugiąć się nie umiała.

Olga wróciła do salonu cała drżąca z rozdrażnienia; zawstydzona była i upokorzona strasznie.

Jak mogła zniżyć się przed nim do podobnej prośby!

Ona! Piękna, urocza, świetna Olga Sławska prosiła narzeczonego, żeby prędzej już całkiem do siebie należeć mogli, i... doznała odmowy!

Gorące rumieńce gniewu i zawstydzenia biły jej na twarz na samą myśl o tem.

Spojrzała: Gorwicz stał przed nią z tym samym co zawsze, trochę szyderczym uśmiechem na ustach i wyrazem brutalnego prawie zachwytu w oczach.

Była w tej chwili tak szalenie rozdrażniona na Romana, że umyślnie, chcąc go ukarać, dokuczyć mu trochę, zwróciła się do dawnego wielbiciela z najmilszym uśmiechem, kazała mu usiąść obok siebie na małej kanapce, i niby przeglądając wraz z nim jakieś albumy, zaczęła flirtować w najlepsze.

Gorwicz miał z kobietami taki sposób obejścia, że każda, najobojętniejsza z nim rozmowa, wyglądała zaraz na żywy bardzo flirt. Przechylał się, uśmiechał, patrzył prosto w oczy tak jakoś zuchwale...

Olga, pełna wrodzonej, do pewnego stopnia nawet może bezwiednej kokieteryi a w tej chwili niesłychanie rozgniewana na Romana, chcąc pomęczyć go nieco zazdrością, tak się przejęła tą przybraną rolą, że cały ten wieczór wciąż prawie z jednym tylko Gorwiczem rozmawiała.

Z narzeczonym nie mówiła już ani słowa.

Widziała, że musiał być wzburzony do głębi, bo wciąż usta przygryzał gwałtownie, i nawet głos miał zmieniony, gdyż tuż obok niej rozmawiał z Żelską i Terenią Darowiczówną.

Na Olgę zaś i na Gorwicza, nagle rozpromienionego, przybierającego zwycięskie miny Don Juana, zdawał się wcale nie zwracać uwagi, jakby nie dostrzegał ich obecności.

Olga źle bardzo spała tej nocy. Pierwsze to poróżnienie się z narzeczonym, bolało ją i niepokoiło więcej, niż sama przed sobą przyznać chciała.

Wstała nazajutrz bardzo rano, gdy zaledwo wschodził blady świt grudniowy.

Myśliwi właśnie wyjeżdżali na polowanie; ogromne dwa wozy stały przed pałacem; słychać było z dołu głosy i śmiechy, szczekania psów, nawoływania służby.

Olga stanęła przy oknie.

Było jeszcze przed wschodem słońca. Ziemia jednostajnie biała od śniegu, niebo też białe i jakby martwe, a na bezlistnych drzewach chmary czarnego, kraczącego ptactwa.

Spojrzała przez szyby. Roman wyszedł właśnie przed dom w myśliwskiem ciemno-zielonem ubraniu i wsiadał na jeden z wozów.

Na widok jego serce zabiło jej gwałtownie wielką miłością i żalem, że go tak skrzywdzić, tak szkaradnie mu wczoraj dokuczyć mogła.

Byłaby chciała módz choć słówko jedno, choćby tylko jakiś znak pojednania z góry mu rzucić.

Podniósł głowę, popatrzył w jej okno; ale dokoła niego byli inni i ci zobaczyć ją mogli — był Gorwicz ze swą szeroką, cyniczną twarzą sybaryty — szybko więc schowała się za firankę.

Głośne strzelenie z bata — jeden wóz ruszył z miejsca, za nim drugi; odjechali.

Olga długą chwilę patrzyła jeszcze za nimi i uczuła niewymowną przykrość, że on znów odjechał na cały dzień, a ona nie powiedziała mu ani jednego słowa zgody i miłości.

A jednak, gdyby nawet była miała ku temu sposobność, nie wymówiłaby tego słowa.

Ma i ona swoją pychę. Niechże on wreszcie raz przełamie ten swój upór, ugnie przed nią tę hardą głowę — ona nie zrobi pierwszego kroku do zgody, choćby jej serce rwało się ku niemu z całych sił, jak w tej chwili.

W całym domu cicho było zupełnie; wszystkie panie, położywszy się wczoraj bardzo późno, spały jeszcze.

Słońce wschodziło już; śnieg wydawał się miejscami różowy i złoty, drzewa pokryte lśniącą okiścią, odbijały, jakby fantastyczne rzeźby ze srebra, od jasnego, pogodnego błękitu nieba.

Olga zarzuciła na siebie długi futrzany płaszcz i wybiegła do ogrodu.

Zmarznięty śnieg, mieniący się w blasku słońca tysiącami barw, skrzypiał pod jej nogami; wysokie, rozłożyste świerki, prawie czarne wobec tej olśniewającej białości, poruszane wiatrem, chwiały się wolno, majestatycznie; olbrzymie trawniki wyglądały jak niezmierne czyste i świeże, puszyste kobierce, aż brała ochota położyć się na nich i patrzeć w milczeniu ponad siebie i dokoła siebie, patrzeć w niebo jasne, na długie ściany z lip strzyżonych, błyszczące szronem i te stojące przy nich smukłe, spokojne posągi bóstw greckich, białe i ciche w tej ogólnej symfonii białości i ciszy.

Olga długo, długo, szybkim krokiem biegała po szpalerach i trawnikach śniegiem zasypanych.

Zdawało się jej, że ta mroźna, pełna słońca świeżość poranku, wypędzi jej z duszy niepokój, ukołysze nerwy wzburzone.

Tyle godzin jeszcze! Teraz ranek i wschód słońca... tak długo jeszcze czekać trzeba, aż ono zajdzie i wieczór zapadnie, zanim Roman wróci...

Wróci, przyjdzie do niej... jedno spojrzenie, jeden pocałunek ich pojedna!

Wczorajsze zajście, to była tylko chwilowa, przelotna chmurka na pogodnem niebie.

Śmiesznym doprawdy był ten jej niepokój, ta noc bezsenna...

Gdy kobieta tak jest kochaną, jak ona, niczego lękać się nie potrzebuje; ma w ręku potęgę i broń, która zwycięży wszystko...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zawalenie się wieży św. Marka w Wenecyi.

Jak donoszą dzisiejsze depesze z Wenecyi ludność tamtejsza ochłonęła już z przerażenia, w jakie pogrążyło ją zawalenie się smukłej Campanilli, z którą łączy się tyle wspomnień historycznych, która była niejako strażnicą, czuwającą nad bezpieczeństwem Królowej morza, skąd straż dawała znać, ilekroć nieprzyjaciel się zbliżał. Dlatego też Wenecyanie nie chcą nic nawet słyszeć o projekcie niektórych architektów, ażeby zawalonej wieży nie odbudowywano wcale, gdyż ich zdaniem zyska przez to ogromnie cały plac św. Marka, gdyż otwarty zostanie widok na całą fasadę kościoła św. Marka, na pałac dożów i Piazzettę. Rada miejska Wenecyi także nie podziela zdania tych architektów i na onegdajszem posiedzeniu jednomyślnie przyjęła wniosek burmistrza Grimaniego, ażeby odbudowano wieżę zupełnie w tej samej postaci, jaką miała, z zachowaniem każdego najdrobniejszego nawet szczegółu. Ile to będzie kosztowało, na razie nie da się dokładnie obliczyć, niektórzy architekci podają koszta odbudowy na 5 milionów lir, inni na 6 milionów, a są i tacy, którzy utrzymują, że będzie to znacznie drożej kosztowało. Bogaci Wenecyanie już teraz składają hojne ofiary na ten cel, napływają także datki z całych Włoch i nie ulega wątpliwości, że potrzebna suma zbierze się niebawem. Na razie ofiarowała rada miejska Wenecyi na ten cel 500.000 lir, a tamtejsza Kasa oszczędności 100.000, parlament rzymski uchwali zapewne milion, reszty dostarczą składki, zarządzone w całych Włoszech, tudzież dochód z wielkiej loteryi.

O samej katastrofie podać możemy następujące autentyczne szczegóły: Jeszcze w dniu 9 lipca, a więc na pięć dni przed katastrofą, dostrzeżono rysę na murze wieży powyżej loggii. Inżynierowie miejskiego urzędu budowniczego, zawiadomieni o tem, obejrzeli wieżę, ale nie mogli pogodzić się co do środków zaradczych, jakie należy przedsięwziąć, a już bezwarunkowo nie przypuszczali, aby niebezpieczeństwo było tak bliskie. Jeden tylko architekt sędziwy Vendrasco orzekł, że nie ma co i myśleć o ratowaniu wieży, gdyż musi się ona do kilku dni zawalić. Gdy nazajutrz skonstatowano, że owa rysa w murze zrobiła się szerszą, postanowiono zwołać komisyę inżynierską całej prowincyi weneckiej. Komisya ta zebrała się w niedzielę rano, obejrzała dokładnie wieżę i znów zdania były podzielone. Większość inżynierów oświadczyła się za tem, że nie ma żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa, podczas gdy stary Vendrasco z zapałem bronił swego zdania i rzekł, że jeszcze tego samego dnia (tj. w niedzielę) wieża może runąć. Utrzymał się jednak inżynier miejski Toccardo ze swoim poglądem, iż nie ma niebezpieczeństwa.

Prefekt, tj. najwyższy urzędnik rządowy, podzielał jednak obawy sędziwego Vendrasca i zabronił już w niedzielę strzelać o godzinie 9 wieczorem z armat na Lido, co jest sygnałem nawołującym żołnierzy, by wracali do koszar, a nadto, gdy o godzinie 10 wieczorem kapela wojskowa rozpoczęła koncert na placu św. Marka, prefekt wysłał jednego z urzędników i nakazał bezzwłocznie przerwać koncert. W poniedziałek rano wieża jeszcze stała, ale skonstatowano, że owa szpara nad loggią znów rozszerzyła się o 15 milimetrów. Prefekt kazał tedy bezzwłocznie sporządzić prowizoryczną baryerę w odległości 5 do 8 metrów od wieży i zamknąć wojskiem i policyą plac św. Marka od strony Campanilli. Sama katastrofa miała miejsce tuż przed godziną 10 rano. Naocznym jej świadkiem była pewna dama z Wiednia i oto, jak pod świeżem wrażeniem tego, co widziała, opisuje ją na karcie pocztowej, wysłanej do swej rodziny: „Było 10 minut przed 10-tą, gdy przechodziłam przez plac św. Marka. Naraz słyszę krzyk i widzę tłum ludzi, pędzących przez „Procurazie vecchie“ i wołających: „Polvere“. Spoglądam na wieżę i widzę, jak nachyla się ona na lewo, a bezpośrednio potem robi zygzak taki sam, jaki robi wieża ustawiona z klocków, gdy wyjmie się jeden klocek z pod spodu i wywoła przez to runięcie całości. Potem huk, trzask i tuman pyłu. Oniemiałam i stanęłam w miejscu jak wryta. W całem mieście ogromna panika. Sklepy pozamykane“.

Że mniej więcej takim był przebieg katastrofy, stwierdzają także inni naoczni świadkowie. Wieża zawaliła się niejako sama w siebie i to jest szczęściem prawdziwem, gdyby bowiem była runęła albo na prawo, albo na lewo, gruzy jej padałyby daleko i wiele ludzi byłoby zginęło, tymczasem ona rozsunęła się niejako w samej połowie swej wysokości, dolna połowa rozwarła się jak lejek i rozleciała, a górna ciężarem swym spadła w dolną. W miejscu, na którem stała, utworzyła się góra rumowiska, wysokości kilkunastometrowej. Z rumowiska wystercza największy dzwon obrócony otworem do góry. Postać skrzydlatego anioła, która zdobiła szczyt Campanilli, po zawaleniu się wieży runęła na plac i w upadku odbiły się jej skrzydła. Umieszczono ją tymczasem w kościele św. Marka, który prowizorycznie zamknięto, aczkolwiek inżynierowie zapewniają, że nie grozi mu absolutnie żadne niebezpieczeństwo. Ale któż dziś wierzy ich zapewnieniom, skoro się właśnie tak sromotnie skompromitowali? W Radzie miejskiej postawił też radny Manzatto onegdaj wniosek, aby wytoczono surowe śledztwo przeciw całemu miejskiemu urzędowi budowniczemu, ale ze względu na żałobę, w jaką pogrążyło miasto to nieszczęście, odroczono dyskusyę nad tym wnioskiem na później.

Publiczność, zebrana na galeryi rady miejskiej, udała się jednak po onegdajszem posiedzeniu przed mieszkanie inżyniera miejskiego Toccardo, tego, który utrzymywał, iż nie ma niebezpieczeństwa, i urządziła mu kocią muzykę. Stamtąd zaś pociągnęły ogromne tłumy przed mieszkanie sędziwego architekty Vendrasco, tego, który już od dawna przepowiadał katastrofę i ostrzegał przed nią i wzniosła okrzyki na jego cześć. Ponieważ stary Vendrasco zaraz po owem niedzielnem posiedzeniu komisyi inżynierskiej, na którem nie utrzymał się ze swojem zdaniem, wyjechał z Wenecyi, przeto syn jego wyszedł na balkon i dziękował za owacyę, urządzoną jego ojcu.

Fundamenta Campanilli badano po raz ostatni w roku 1885. Wykopano wówczas studnię, sięgającą aż do pilotów, na których spoczywały fundamenta, i stwierdzono, że piloty nie skamieniały wprawdzie, ale są nadzwyczaj silne i wytrzymałe. Fundamenta wieży zbudowane były z trachitu, piaskowca i istryańskiego kamienia wapiennego. Uprzątanie gruzów odbywa się przy pomocy ogromnych żórawi. Tumany pyłu zalegają cały plac św. Marka podczas tej roboty, mimo to jednak tłumy ludzi, przeważnie cudzoziemców, przypatrują się tej robocie i nie zważają na to, że ubrania ich pokrywają się wkrótce grubą warstwą pyłu. Budowa nowej wieży rozpocznie się na wiosnę przyszłego roku.

Niestety słynna loggietta Sansovina, jeden z najpiękniejszych zabytków architektonicznych w całych Włoszech, stracona bezpowrotnie. Z gruzów wydobywają odłamki cudownych kapiteli i innych ornamentów, jakie zdobiły to cacko i składają je na podwórzu pałacu dożów. Robotnicy obchodzą się z tymi kawałkami jak z relikwiami i grzebią jak najostrożniej w gruzach, aby uratować, co się tylko da. W razie odbudowy logetty wprawione zostaną te znalezione fragmenty w odpowiednie miejsce, a reszta zostanie dorobiona według pierwowzoru.

Wybuchy pyłu.

Znane jest powszechnie zjawisko wybuchowego palenia się „lycopodium“, tj. pyłków zarodnikowych „widłaku“, powszechnie u nas znanej rośliny skrytokwiatowej. Proszku tego, zwanego pospolicie proszkiem do zasypywania, odznaczającego się nadzwyczajną miałkością i delikatnością w dotknięciu, używają też do robienia błyskawic na teatrzykach i wogóle do rodzaju ognia sztucznego, jeśli się go w odpowiedni sposób na płonącą świecę zdmuchuje.

Cóż tutaj jest powodem wybuchu? Wcale nie wybuchowa natura materyału, ani żywiczność jego, lecz wyłącznie struktura pyłków, nadzwyczaj drobnych i delikatnych, które, paląc się nagle jeden za drugim, powodują istny wybuch.

To też nietylko „lycopodium“ jest w stanie wybuch płomienny wywołać. Trafia się to i z innymi pyłami, chociaż nie tak często i nie tak łatwo.

Niedawno temu doniosły dzienniki, że w Paryżu przy ulicy de Bretagne nastąpił wybuch w piekarni. Mąkę za pomocą płóciennej rury zsypywano z trzeciego piętra do kadzi w piekarni na parterze, a ponieważ rura pod ciśnieniem pękła na dole, powstały chmury z unoszącej się mąki. Pył mączny zetknął się z płomieniami gazu i stąd powstał silny wybuch, skutkiem którego wszystkie szyby w budynku wyleciały, a robotnicy odnieśli ciężkie rany z poparzenia. Prasa paryska, donosząc o tym wypadku, zapytywała, czy możliwem jest, ażeby zwykły pył mączny mógł eksplodować i przypisywała wybuch gazowi świetlnemu.

W świecie technicznym zagadkowe zjawiska, przy tak zwanych wybuchach pyłu okazujące się, były przedmiotem ścisłych badań i znawcy stwierdzili, że właśnie wybuch pyłu mącznego nie należy do rzadkości. Nie łatwą było rzeczą wyszukać przyczyny podobnych wypadków, najczęściej bowiem nie można było udowodnić ani powstania gazów lub nagłej zmiany ich objętości, ani wogóle istnienia jakiejkolwiek materyi wybuchowej. Nie wszędzie istniało oświetlenie gazowe, któremu możnaby było, bez wejrzenia w istotę rzeczy, przypisać winę wypadku.

Okazało się, że zwłaszcza w młynach istnieje poważne niebezpieczeństwo wybuchów, skutkiem czego w niektórych krajach towarzystwa ubezpieczeń od ognia biorą za ubezpieczenie młynów bardzo wysokie premie.

W r. 1872 w młynach „Traveston“ w Glasgowie nastąpił tak silny wybuch, że wszystkie budynki runęły, a kilkunastu ludzi padło ofiarą katastrofy. W r. 1878 w młynach Washburn w Minneapolis powstała olbrzymia eksplozya, która w jednej chwili zburzyła zabudowania i zniszczyła zapasy materyałów wartości 4 milionów koron. W Nowym Jorku tego samego roku wyleciał w powietrze młyn cukrowy, a wypadek ów znawcy zaraz przypisywali pyłowi krochmalowemu, który się tam unosił gęstymi obłokami.

Analogiczny wypadek zdarzył się w Turynie w r. 1875. Pomocnik piekarski miesił ciasto tuż obok otworu, którym dostawała się mąka ze składu, na górze będącego, do pracowni, położonej na dole. Obłok pyłu otoczył pracującego czeladnika, zapalił się od światła i wywołał silną detonacyę. Wypadek ten charakterystyczny jest dlatego, że wówczas pracowano przy świetle świec, a więc nie można ani gazu, ani nafty brać w rachubę.

W kopalniach węgla przypisywano wszystkie wybuchy powstawaniu zapalnych gazów, a ta hipoteza najczęściej była uzasadnioną. Ale od pewnego czasu zaczęto podejrzywać, że często i pył odgrywa rolę w tych katastrofach, co niebawem Galloway wykazał. Udało mu się drogą doświadczalną udowodnić, że pośród sprzyjających okoliczności w zamkniętych przestrzeniach ciśnienie może wzrosnąć do 8 atmosfer i że przy odpowiedniej mieszaninie lotnego pyłu ze świeżem powietrzem, potrzeba tylko iskierki, ażeby spowodować wybuch o ciśnieniu mniej więcej 120 funtów na cal kwadratowy. Podobna eksplozya burzy doszczętnie normalnie zbudowane budynki.

Na podstawie sprawozdania amerykańskiego przyrodnika W. Smitha o eksplozyi w ogromnym młynie w Milwaukee, gdzie zbyt szybkim obrotem rozpalone kamienie młyńskie miały spowodować zapalenie się pyłu mącznego, przedłożył Berthelot w lipcu 1878 roku paryskiej Akademii umiejętności naukowe wyjaśnienie tego wypadku. Wyjaśnienie Berthelota jest tak prostem, że dziwić się należy, dlaczego tak długo czekać na nie trzeba było.

Wybuch pyłu jest po prostu skutkiem nadzwyczaj szybkiego palenia się. Dokładną mieszaninę powietrza i bardzo lotnego pyłu z jakiejś organicznej materyi można pod wielu względami uznać za identyczną z mieszaniną powietrza i palnych gazów. Jak wiadomo, każda materya, przemieniwszy się przez spalenie w gaz, potrzebuje znacznie większej przestrzeni, niż poprzednio. Jasnem jest, że przy bardzo szybkiem spaleniu się wzrasta równie szybko rozprężliwość, wymagająca wielkiej przestrzeni, a w ten sposób gwałtowna eksplozya jest nieunikniona. Im mniejsze są cząstki, na które jest rozłożony płonący materyał, tem szybciej odbywa się proces palenia i tem silniejszy również następuje wybuch. Drobna iskra lub znaczniejsze podwyższenie się temperatury powoduje w takich warunkach pożar pyłu i w następstwie eksplozyę.

Oto jeden z wielu przykładów: Dnia 23 czerwca 1887 r. zdarzył się wybuch w fabryce braci Demuth w Var, gdzie wyrabiano pył korkowy do linoleowych chodników. Pył wyrabiano z odpadków korkowych, które pomiędzy kamieniami młyńskimi, poruszanymi turbiną, przemieniały się w mączkę linoleową. Gdy czasem pomiędzy kamieniami brakło materyału, wówczas kamienie, obracając się szybkim pędem, przez tarcie tak się rozgrzewały, że padały od nich iskry. W krytycznym dniu w pracowni powietrze było przesycone lotnym pyłem — z rozżarzonych kamieni padła iskra, pył w jednej chwili zapłonął i wskutek tego powstał wybuch, który pozbawił życia pięciu robotników.

Mały fejleton.

Sielanka.

I.

Dzwonią białych owiec trzody,
Za górami gaśnie zorza...
— „Hej, pasterko moja hoża,
Białe owce gnaj do wody!“

Huka zdala pasterz młody,
A głos płynie przez bezdroża —
Dzwonią białych owiec trzody,
Za górami gaśnie zorza...

Pachną ziół skoszonych miody,
Na dolinach szumią zboża,
Jak zwełniona fala morza...
Smugą pełznie dym z zagrody,
Dzwonią białych owiec trzody...

II.

Stary gazda rozwarł wrota:
Turlikają dzwonki z gór,
A fujarka gra im wtór,
Hen—po reglach—mgła się mota...

— „Nie uchybi — będzie psota!“
Idzie percią owiec sznur,
Stary gazda rozwarł wrota,
Turlikają dzwonki z gór...

A w fujarce łka tęsknota,
Kosodrzewin szumi chór,
Zorza dzierga brzeżki chmur
W szlak z purpury i ze złota —
Stary gazda rozwarł wrota...

III.

— „Gdzie najbielsza owca z stada?
Obłąkała się na hali?
Juhasowi Hanuś rada,
Może razem pozostali?“

Przed szałasem baca siada,
Jałowcowy ogień pali...
— „Gdzie najbielsza owca z stada—
Obłąkała się na hali?“

Cicho srebrna noc zapada
— „Dał jej wczora sznur korali...“
Hej! fujarka gra w oddali,
Strumień szemrze coś i gada — —
— „Gdzie najbielsza owca z stada?“

Zdzisław Dębicki.

KRONIKA.

Lwów 17 lipca.

Zjazd Towarzystwa pedagogicznego. Od wczoraj obraduje w naszem mieście walny zjazd Towarzystwa pedagogicznego nad sprawami stanu nauczycieli ludowych. Obrady toczą się we własnym domu Towarzystwa przy ulicy Zimorowicza. Na pierwszem posiedzeniu, po załatwieniu wstępnych formalności, uchwalono wysłać trzy telegramy hołdownicze: do Ojca św., do Cesarza, i... do pani Maryi Konopnickiej, którą równocześnie zamianowano członkiem honorowym Towarzystwa. Następnie wygłosił dr. Falkiewicz odczyt: „O kształceniu uczuć patryotycznych i środkach do tego celu wiodących“. W myśl tego odczytu uchwalono najprzód polecić zarządowi głównemu wniesienie petycyi o wprowadzenie nauki dziejów ojczystych jako przedmiotu obowiązkowego w szkołach średnich. Tą pierwszą rezolucyą Zjazd właściwie przekracza swą kompetencyę, albowiem sprawy szkół średnich należą do Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Druga rezolucya kładzie na sercu Radzie szkolnej krajowej potrzebę wydania obrazów dla poglądowego nauczania geografii i historyi ojczystej. Wreszcie ma Zarząd główny zwołać ankietę do rozpatrzenia braków pod względem wychowania narodowego, wystosować odpowiedni memoryał do Rady szkolnej krajowej i wezwać wszystkie oddziały Towarzystwa pedagogicznego, tudzież inne pokrewne stowarzyszenia do wspólnej pracy nad poprawą wychowania publicznego i prywatnego w całym kraju w duchu narodowym.

Dalej po referacie p. Parczyńskiego uchwalono nie zadowalać się dotychczasowymi rezultatami na polu polepszenia doli nauczycielskiej, lecz obstawać dalej przy postulatach wiecu pedagogicznego w Przemyślu, a na posiedzenia komisyi wykonawczej tego wiecu zapraszać posłów sejmowych wszystkich frakcyi. Przypominamy, że uchwały owego wiecu przemyskiego były bardzo dako idące, domagano się bowiem: zrównania płac z płacami urzędników państwowych trzech ostatnich rang; zniżenia lat służby do 30; zniesienia tajnej kwalifikacyi, utworzenia osobnych komisyj dla spraw dyscyplinarnych; zniesienia Rad szkolnych miejscowych; mianowania inspektorów okręgowych przedewszystkiem z grona nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych, pomnożenia Rady szkolnej krajowej reprezentantami wybranymi przez Sejm i delegatami nauczycielskimi, wybieranymi przez konferencye krajowe; zniesienia egzaminów wstępnych do szkół średnich itd.

Po południu miał dr. Falkiewicz bardzo zajmujący odczyt w sprawie rozbudzenia wśród nauczycielstwa zainteresowania dla studyów nad psychologią dzieci. Na wniosek prelegenta uchwalono następującą rezolucyę:

„Walny zjazd poleca zarządowi głównemu, aby dla badań psychologicznych nad dziećmi zawiązał kółka wśród nauczycielstwa ludowego i wśród członków Towarzystwa, tudzież, aby zobowiązał redakcyę *Praktyki szkolnej* do pomieszczania prac na ten temat i wyników działania Towarzystwa na tem polu“.

W żywej dyskusyi, która się na temat poruszony przez p. Falkiewicza wywiązała, twierdził jeden z nauczycieli, że psychologia dziecka czy to mazurskiego, czy ruskiego, czy żydowskiego ma odmienne cechy, a studya psychologiczne nauczycieli powinne dać podstawę do psychologii narodu polskiego. Ten sam mówca wyraził żal, że seminarya nauczycielskie nie przygotowują dostatecznie nauczycieli do naukowych badań nad psychologią dzieci. — Uchwalono jeszcze dwa dodatkowo postawione wnioski:

„Zarząd główny 1) przedstawi radzie szkolnej krajowej potrzebę uzupełnienia podręczników psychologii dla seminaryów nauczycielskich dodatkiem o psychologii dzieci i 2) Uprosi radę szkolną krajową, aby zachęciła do badań psychopatycznych (sic!) w ochronkach, ogródkach froeblowskich, szkołach ludowych, oraz poleciła nauczycielom seminaryum nauczycielskiego wykładającym pedagogię, by kandydaci przeprowadzali badania psychologiczne pod ich kierownictwem“.

Jest w tych rozprawach i wnioskach trochę manii wielkości, ale bądź co bądź sam ruch umysłowy, który je wywołał, jest sympatyczny.

Dzisiaj odczytano najpiew dwa telegramy z podziękowaniem za hołd: od Cesarza i od Maryi Konopnickiej. Potem debatowano nad zmianą statutu Towarzystwa. Zmiany przyjęte przez zgromadzonych idą przedewszystkiem w kierunku nadania zarządom oddziałów Towarzystwa szerszej autonomii. Zarządowi głównemu nadano prawo zwoływania wieców i reprezentowania nauczycielstwa Galicyi, Szląska i Bukowiny, zwykłe zaś zebrania roczne członków zostały zmienione na zebrania delegatów.

Posiedzenie urozmaicił występ posła Stapińskiego, który do zebranych wygłosił gorącą mowę w sprawie uchwały sejmowej, dotyczącej podwyższenia pensyi nauczycieli. To pierwsze zwycięstwo nauczycielstwa nabiera tem większej wagi, że podczas debaty sejmowej nad odnośnymi wnioskami oświadczali wszyscy posłowie bez wyjątku, że to jest dopiero pierwszy krok na drodze do poprawy doli nauczycielskiej. Do takiego przewrotu opinii wśród sfer decydujących przyczynił się, zdaniem mówcy, wiec przemyski i jego śmiałe rezolucye, bo „było potem z czego opuścić“, wreszcie taktowność komisyi wiecowej. Nauczycielstwo powinno teraz domagać się poprawy swego bytu pod względem społecznym i obywatelskim. Mówca zapewnia, że daleki jest od tego, by chciał mieć nauczycieli po stronie stronnictwa ludowego, i jako praktyczny polityk tego sobie nawet nie życzy. W końcu prosił mówca, by mu dostarczono materyału do wystąpienia przeciw tym inspektorom okręgowym, którzy terroryzują nauczycieli i używają ich do zwalczania ruchu ludowego.

Potem obradowano dalej nad statutem; wśród tych obrad wynikł między męską a żeńską stroną zebrania spór. Szło o to, czy delegatami do zgromadzeń walnych mają być prezesi oddziałów, czy jacykolwiek nauczyciele, którym ich koledzy mandat delegatów poruczą. Otóż jeden z nauczycieli popierając ten drugi wniosek, podniósł, że gdyby wybierano prezesów na delegatów, to walne zgromadzenie zamieniłoby się na zgromadzenie samych dyrektorów i inspektorów, zwłaszcza, że panie nauczycielki na prezesów wybierają zwykle tylko reprezentantów władzy i nie idą solidarnie z męską częścią nauczycielstwa. P. Aleksandrowiczówna odparła zarzut uczyniony nauczycielkom i w odwet zarzuciła kolegom nauczycielom, że o ile im nie idzie o głosy, pogardzają solidarnością nauczycielek, tak, że one musiały założyć dla siebie osobne stowarzyszenie.

Po uchwaleniu zmienionego statutu były na porządku dziennym wnioski członków. Uchwalono między innymi polecić zarządom oddziałów urządzanie obchodów narodowych i odczytów po wsiach.

Przystąpiono do wyborów nowego Zarządu głównego. Przez aklamacyę wybrano ponownie prezesem dra Małachowskiego, prezydenta m. Lwowa, który dziękując za wybór, wzywał do tego, żeby nauczycielstwo dążyło do osiągania swych postulatów tylko drogą legalną, jeżeli chce mieć sympatyę i uznanie wszystkich stronnictw w społeczeństwie. Wiceprezesami wybrano pp. Jana Soleskiego i Józefa Szafrana.

Strejk agrarny w Gajach pod Lwowem zakończył się onegdaj. Przyszło mianowicie do ugody między właścicielką Gajów, Maryą księżną Sapieżyną, a strejkującymi. Na podstawie tej ugody robotnicy będą pobierali następujące płace: od kopy 80 hal. (dotychczas 60), za robotę sterty 1·40 K. (dotychczas 80 hal.), od koszenia 1 K. (dotychczas 70 hal.), od korca kartofli 24 hal. (dotychczas 20), od buraków 24 hal. (dotychczas 16), wreszcie za robotę przy maszynie porą zimową 10 hal. od godziny (dotychczas 6). Strejk w Hermanowie, również własności ks. Sapieżyny, trwa dalej, jednakże i tam przyjdzie prawdopodobnie w tych dniach do ugody.

W Gajach przyszło przed zawarciem ugody do krwawej bójki. Pisma radykalne, jak *Kuryer lwowski* i *Słowo polskie*, zwalają całą winę strejku na właścicielkę ks. Sapieżynę i jej pełnomocników. Twierdzą one również, że powodem bójek w Gajach był nietakt ze strony ks. Sapieżyny. Przytaczamy tu kilka ustępów z artykułu *Słowa polskiego*:

„Strajki rolne pod Lwowem przybierają coraz ostrzejszą formę wskutek oporu właścicieli ziemskich. Onegdaj straszna tragedya strajkowa rozegrała się w Gajach własności ks. Maryi Sapieżyny. Ludność w Gajach strajkowała od tygodnia. Wysłano deputacyę pod przewodnictwem posła Breitera do dworu, który jednak nie chciał podwyższyć płacy, owszem zagroził sprowadzeniem obcych robotników. Groźby swe wykonała księżna Sapieżyna, wysyłając we wtorek rano około 150 ludzi z Biłki szlacheckiej i Suchorzyc do Gajów. Za tymi ludźmi postępowały wozy naładowane kilkoma beczkami piwa, wódki i mięsiwa. „Bilczanom“ przed wsią Gaje zaszli drogę strejkujący. Od godz. 7 do 3 w południe stały naprzeciw siebie dwie armie, gotowe do walki.

„Około południa przyjechał rządca sapieżyński, Szołdrski i dał hasło „Biłczanom“, by rozpoczęli „ucztę“. „Biłczanie“ na to, jak na boże lato, rzucili się do wódki i piwa, naigrawając się ze strajkujących. Pod wpływem książęcego alkoholu porwali „Biłczanie“ jednego ze strajkujących, Romana Werbowicza i poczęli go w nieludzki sposób okładać kołami, robiąc mu kilka dziur w głowie. Dodać należy, że „Biłczanie“ przyszli uzbrojeni w koły, dłuta, sierpaki itp. Żandarmerya zupełnie nie uważała za stosowne wkroczyć i uwolnić Werbowicza od ciosów, co widząc strajkujący, rzucili się na odsiecz swemu koledze Przyszło do formalnej bitwy, której rezultatem była ucieczka „Biłczan“. Po tej bitwie uspokoiło się, zaczęła natomiast „urzędować“ żandarmerya przy pomocy wójta. Wójt kazał zwołać do kancelaryi gminnej swoich „wrogów“, pod pozorem „omówienia“ ważnej sprawy, a tam skuła ich żandarmerya. Połowa z aresztowanych nie brała zupełnie nawet udziału ani w strajku, ani w bitce, jak np. diak tamtejszy. Z osobistej atoli zemsty — jak zapewnia poseł Breiter — podał ich wójt jako sprawców rozruchów. Aresztowani, pędzeni do Winnik chcieli w drodze odpocząć, żandarmi atoli biciem i kolbowaniem zmusili ich do dalszego pochodu. Księżna Sapieżyna, poznawszy straszne skutki swoich zarządzeń, zjechała wczoraj osobiście do Gajów, by zawrzeć ugodę. Strajkujący zaprosili do interwencyi w traktowaniu ugody posła Breitera. Po przyjeździe jego stanęła po kilkugodzinnych naradach ugoda“.

W podobny sposób przedstawia sprawę *Kuryer Lwowski*, jednak wymknęło mu się prawdopodobnie przypadkiem, że nie „Biłczanie“, ale strejkujący rozpoczęli bójkę i rabowali wozy z żywnością.

Kongregacya Dzieci Maryi. Z Kochawiny nam piszą: Dnia 2 sierpnia br. ma być zawiązaną w Kochawinie kongregacya Dzieci Maryi. Będzie to pierwsza kongregacya na prowincyi we wschodniej Galicyi, gdy już w zachodniej części kraju powstało kilka kongregacyi, których specyalnem zadaniem łączyć w jednej pracy osoby mieszkające na prowincyi, zachęcając je, aby dla miłości Bożej tem gorliwiej pracowały nad sobą i nad swem otoczeniem.

Pierwszy zjazd kongregacyi żeńskich w Krakowie w kraju 1901 pozwolił ocenić doniosłość zjednoczenia wysiłków i tej cichej pracy, jaka np. w Wielkopolsce odznacza Dzieci Maryi, stale wprowadzające w życie codzienne czynną swą wiarę. W Galicyi, oprócz kongregacyi po miastach istniejących, chlubną pracą na wsi odznacza się kongregacya ziemi sanockiej.

Kochawina, to miejsce błogosławione osobnemi łaskami Matki Bożej: ileż tam cudów i łask otrzymały serca ufające! — To też wszystkie wierne czcicielki Matki Bożej pospieszą pewno, aby czynem okazać, jak pragną w zwartym szeregu pracować! Czcigodny ks. Trzopiński, podejmując myśl założenia kongregacyi, zyska wdzięczność osób tych, które rozumieją doniosłość zjednoczenia się i wypełniania tem lepszego obowiązków swych względem Boga i Ojczyzny.

W sprawie przypuszczania kobiet na posady urzędników gminnych. Jedno z pism porannych podało wiadomość, jakoby Wydział krajowy postanowił przypuszczać kobiety do egzaminu kwalifikacyjnego na urzędników gminnych, jak sekretarki, kasyerki i kontrolorki. Otóż Wydział krajowy żadnego takiego postanowienia nie powziął, a rzecz cała odnosi się do jednego specyalnego wypadku. Pewna panna mianowicie zapytywała, czy mogłaby zdawać egzamin kwalifikacyjny. Na to zapytanie odpowiedział Wydział krajowy, że ustawa gminna nie zabrania przypuszczania kobiet do tego egzaminu.

Pożar fabryki parafiny w Maryampolu. Wczoraj o godz. 11 w południe wybuchł z niewiadomej przyczyny pożar w fabryce parafiny w Maryampolu, należącej do akcyjnego Towarzystwa karpackiego. Ogień objął w krótkim czasie całą parafineryę i przerzucił się na sąsiednią wieżę drewnianą, mieszczącą chłodzarnie. Straży ogniowej fabrycznej i ochotniczej z Gorlic udało się zlokalizować pożar, a był on bardzo groźny, ponieważ w pobliżu wieży znajdują się zbiorniki ropy i destylarnia nafty. Ofiar w ludziach na szczęście nie było żadnych.

Wypadek w Alpach. Zakonnik z Melk (w Austryi dolnej), nazwiskiem Schramm, spadł ze skały w Alpach Zillerthal i zabił się. Towarzysz jego, który był także księdzem, udzielił umierającemu św. Sakramentów.

Marek Antokolski, znany rzeźbiarz, zmarł w Homburgu. Urodził się w Wilnie w r. 1843 z rodziny żydowskiej, i właściwie powinien był należeć do narodu polskiego ale ponieważ mu się więcej uśmiechała protekcya Rosyi, więc zapisał się do Rosyan. Kształcił się w Petersburgu, następnie przebywał w Berlinie i w Paryżu. Już jako młodzieniec 21-letni otrzymał [illegible] w Petersburgu srebrny medal za wyrzeźbionego z drzewa „Żyda krawca“. Z wielu jego prac wymieniamy następujące: „Iwan Groźny“, „Awar“, Pocałunek Judasza“, „Żydzi przed inkwizycyą“, „Piotr Wielki“, „Chrystus przed ludem“, „Zgon Sokratesa“, „Ostatnie tchnienie“, „Dziecię umarłe“, „Głowa św. Jana“, „Głowa Mefistofelesa“, „W. ks. Mikołaj“, „Aleksander II“, „Jermak“. Zmarły artysta hołdował kierunkowi skrajnie realistycznemu w sztuce.

Z Żegiestowa nam piszą: W pięknem ustroniu rozsiadł się zakład leczniczy. Wąwóz, otoczony z trzech stron górami, otwiera widok malowniczy na dolinę wartkiego Popradu i wierzchołki Pienin pod-Tatrzańskich. Moc drzew szpilkowych i liściastych — to jedna jeszcze ozdoba hojnie obdarzonego od natury Żegiestowa. Szkoda tylko, że wybornie dająca się wyzyskać miejscowość spoczywa w ręku osoby prywatnej, nie rozporządzającej funduszami na tyle, aby urządzenie Żegiestowa doprowadzić do takiego stanu, iżby mógł konkurować z urządzeniami zagranicznemi. Nie idzie jednak za tem, aby to, co zrobiono w kierunku ulepszeń nowoczesnych, nie miało stanowić prawdziwej zasługi zarządu zdrojowego. Piękne wille, wygodne, choć z mniejszym komfortem urządzone łazienki, nie brzydki dom zdrojowy, czytelnia, księgozbiór, sala publiczna, orkiestra, dobrze zaopatrzone restauracye, świadczyć przecież muszą o widocznem staraniu zarządu uzdrowiska.

Pomimo jednak skutecznych własności leczniczych źródła tutejszego, pomimo jego wyjątkowego bogactwa w dwuwęglan żelazawy, pomimo przyjaznych warunków klimatycznych, napływ publiczności polskiej w sezonie pierwszym był dużo mniejszy, niż roku ubiegłego. Dyrektor zakładu skarży się na małą skuteczność agitacyi antibadowej. Sądzi, że są pewne lata przypływu lub odpływu publiczności z Królestwa i że rok bieżący, poprzedzony nieurodzajem dla rolników a przesileniem ekonomicznem dla świata handlowego, ma ujemnie oddziaływać na odwiedzanie uzdrowisk.

Kto chce szczerej ciszy i spokoju, ten miły dla siebie znajdzie tu odpoczynek. Zastanie też kąpiel „mineralną“ za 75 ct., „borowinową“ za guldena i 30 ct. Pokój z pościelą za 65 ct. do 1 zł. 35 ct. dziennie. Całkowite utrzymanie za 2 zł. 50 ct. Znajdzie oddział hydropatyczny, kąpiele rzeczne, a w razie potrzeby może korzystać z metody leczenia elektrycznością.

Sześć pociągów ułatwia komunikacyę z całą Europą.

Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas. Podczas uroczystości grunwaldzkiej w Krakowie grono młodzieży porwało posła Klofacza, wychodzącego z katedry, na ramiona i niosło go w tryumfalnym pochodzie przez ul. Grodzką i Rynek przed pomnik Mickiewicza. W kwestyi tej czytamy w *Czasie* następującą trafną uwagę: „Szanując prawa gościnności, nie chcemy zastanawiać się nad zdziwieniem, jakie w samych Czechach wywoła z pewnością ten akt „tryumfalnego“ uznania dla „przedstawiciela słowiańskiej solidarności“ na rynku krakowskim. Mamy jednak obowiązek wskazać śmieszność tego rodzaju „entuzyazmów“ młodych, niehamowanych przez starszych. Szkodzą one powadze chwili, a z uroczystości czynią chyba widowisko“.

Upały. Kiedy u nas lipiec jest chłodny, słotny, w Tyrolu, w górnych Włoszech i we Francyi panują ogromne upały. Z Medyolanu donoszą, że w całym kraju temperatura stała się wprost nie-

normalnie gorąca. Termometr wskazywał onegdaj 38° w cieniu, do której to wysokości nie dochodził już od lat 20. W Tryencie notowano 43° powyżej zera w cieniu. W Bergerac (departament Dordogne) wstrzymano d. 10 b. m. manewry z powodu upału. Trzech żołnierzy zmarło, a wielu się rozchorowało.

Przeziębienie u ryb. Wydawałoby się na pozór rzeczą nieprawdopodobną, aby zwierzęta zimnokrwiste, żyjące stale w zimnej wodzie, mogły podlegać zaziębieniu. A jednak tak jest w istocie, jak wykazał właśnie monachijski profesor Hofer. Rzecz staje się zrozumiałą, gdy się zważy, że ryby nie posiadają, tak jak zwierzęta ciepłokrwiste, przyrządów regulujących ciepło krwi na powierzchni ciała, a więc i ciepła skóry i nie potrzebują tej regulacyi, albowiem żywioł, w którym żyją, nie naraża ich prawie nigdy na szybkie zmiany temperatury. Nie są też do nich przystosowane i okazują bardzo małą w tym kierunku odporność. Ryba, przeniesiona do wody znacznie zimniejszej, zaziębia się. Choroba objawia się początkowo plamami mlecznemi, występującemi na skórze, potem pękaniem wierzchniej skóry, jakby podrapanej pazurami, wreszcie, przy cięższych wypadkach, pękaniem i odpadaniem w kawałkach całej skóry wierzchniej i spodniej, tak, że mięśnie odsłaniają się zupełnie. Objawy te, występujące w 24—36 godzin po zaziębieniu, znikają z czasem, gdy są lekkiej natury, cięższe cokolwiek powodują niechybnie śmierć zwierzęcia. Zwłaszcza karpie okazują skłonność do przeziębiania się. Odkrycie powyższe może być ważnem dla hodowców i handlarzy, jako ostrzeżenie, aby nie przenoszono złowionych ryb zbyt nagle do wody o znacznie niższej temperaturze.

Jak obchodzić się z mężami? Usiłując rozwiązać to trudne pytanie, rozesłało angielskie pismo kobiece *The Ladys Realism* kwestyonaryusz i drukuje teraz otrzymane od swych abonentek odpowiedzi. Wszystkie niemal damy, które nadesłały odpowiedź, przychodzą do tej pocieszającej dla mężczyzn konkluzyi, że, skoro mąż [illegible] stronie żony.

Jedna z tych dam oświadcza, że mężczyźni niczego tak bardzo nie lubią, jak tego, żeby nimi żony kierowały, żony jednakże, które dają odczuwać mężom swoją wolę, spotyka najczęściej niepowodzenie.

Inna dama twierdzi, że — w teoryi przynajmniej — żony nie powinny mężami swymi kierować i pewnie większość mężów zgodzi się na to jej zdanie. Zamiast na to, [illegible] powinny [illegible] swych mężów i niebylko ich karmić, ale starać się także zachować jak najdłużej ten urok, który ich mężów do nich w dniach narzeczeństwa zwabił i przywiązał.

Inna skarży się na mnogość źle prowadzących się mężów i twierdzi, że winny temu ich żony: „Mąż, który w najlepszym razie jest bardzo drażliwem stworzeniem, irytuje, drażnią, rozgoryczają, a wtedy już i koniec kierowania nim". Twierdzi dalej ta sama pani, że „mąż siedzący pod pantoflem i nie kryjący się z tem, przedstawia wstrętny widok" i że „żona, która wpływać chce na swojego męża tak silnie, by jej wola była jego wolą, we wszystkich sprawach, na których jej istotnie coś zależy, będzie [illegible] łagodną. W cztery oczy będzie dla męża taką samą, jaką jest przy gościach i tak dla [illegible] i uważającą nań będzie, jak dla najbardziej pożądanego i szczerego z jej gości. Zresztą uczynienie się przyjemną dla męża wiele trudu kosztować jej nie będzie".

[illegible] wreszcie skarży się, że mężczyźni nie chcą zrozumieć, jaką wagę przywiązują kobiety do drobnych, wyświadczanych im przez ich mężów grzeczności. Zarazem radzi ta pani, by żona była w domu tak samo przyjemną i wesołą, jaką jest w towarzystwie, nie godzi się bowiem być dobrą i wesołą dla obcych, a w domu nachmurzoną twarz pokazywać mężowi.

Mądrość kobieca wyraża się w następującem zdaniu jednej z korespondentek: „Nikt nie lubi, by nim kierowano, jest jednak stwierdzoną rzeczą, że pewne kierownictwo ze strony żony jest koniecznem, jeśli wóz małżeński toczyć się ma łagodnie i spokojnie".

Porządki w mieście. Zaledwo przed trzema tygodniami świeżo wyszutrowano i wybrukowano [illegible] ulicę Ossolińskich, a oto dziś poczęto rozbijać ten bruk dla jakichś robót przy rurach gazowych. System ciągłego kopania się w ulicach stał się widocznie regułą w naszem mieście.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 10, w poł. + 18 R. Bar. 765. Nieruchomy. Piękna pogoda. Jest to już drugi dzień bez deszczu.

W sądzie.

— Gdzie pan był onegdaj w nocy od ósmej do dwunastej?

— W Kawiarni Teatralnej....

— Co pan tam robił?

— Pożyczałem od Szmula Fajnkopfa trzydzieści guldenów na dwa miesiące....

— I czyż to trwało od ósmej aż do dwunastej w nocy?

— Przepraszam pana sędziego, niechno pan sędzia sprobuje pożyczyć od Fajnkopfa trzydzieści guldenów na dwa miesiące, a pan sędzia sam się przekona jak to długo może trwać.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we czwartek „Wieczór Trzech Króli" kom. w 5 aktach (8 odsł.) W. Szekspira. — W piątek po raz 1szy „Pierwsza mucha" komedya w 3 aktach Wiktora Kryłowa. — W sobotę „Złote runo" dramat współczesny w 3 aktach St. Przybyszewskiego. — W niedzielę „Nadzieja" dramat w 4 akt. H. Heyermanns'a.

Repertuar operetki lwowskiej w Krakowie. W piątek po raz pierwszy „Jabuka" czyli „Święto jabłek," op. w 3 a. Jana Straussa. W sobotę po raz IIgi „Wesoła dwójka", operetka w 4 aktach K. Ziehrera. W niedzielę „San-Toy" czyli „Gwardya cesarska".

Literatura i sztuka.

Z teatru. Wczoraj na rozpoczęcie Zjazdu pedagogicznego wznowiono doskonałą komedyę Ottona Ernsta „Kierownik szkoły". W wyborze tej sztuki na dzień wczorajszy była może subtelna ironia, ale z tem wszystkiem i myśl zdrowa, bo chęć pokazania nauczycielom szkół ludowych, czego społeczeństwo od nich żąda i jak sobie wyobraża idealny okaz nauczyciela ludowego. Publiczności zebrało się dość dużo, nie wiemy jednak, czy było wśród niej wielu pedagogów. Ci zaś, którzy byli, znajdowali się na prawdziwej biesiadzie artystycznej, sztukę bowiem grano bodaj czy nie jeszcze lepiej, niż w jesieni, kiedy ją po raz pierwszy wystawiono. Mianowicie podnieść musimy grę p. Chmielińskiego. Dobrze grał on w jesieni kierownika szkoły, ale od tego czasu pogłębił tę postać, wzbogacił ją mnóstwem szczegółów nader misternie obmyślanych i na żywej obserwacyi opartych. Grał więc wczoraj tak dobrze, że stanowczo wzniósł się na tę wyżynę artystyczną, na której stoją pp. Kamiński i Solski, a do której tak dzielnie zbliżają się pp. Roman i Popławski. To też z całego serca winszujemy p. Chmielińskiemu tej kreacyi.

Inni nasi pierwszorzędni artyści, jak panie Gostyńska, Bednarzewska i Węgrzynowa, pp. Roman i Popławski, jakoteż pp. Węgrzyn, Kuncewicz, Antoniewski, Stanisławski i Kwiatkiewicz tworzyli ansambl tak wyborny i grali z taką werwą, że publiczność wybuchała co chwila to salwami śmiechu, to salwami oklasków.

* **Stanisław Zdziarski:** „Bohdan Zaleski". Lwów. Nakładem Tow. wydawniczego. 1902.

„Słowik ukraiński" doczekał się nareszcie w samą setną rocznicę swoich urodzin trwałego pomnika. W samą setną rocznicę, wiadomo bowiem, że Józef Bohdan Zaleski przyszedł na świat w lutym 1802 r. Wykołysała go, wyniańczyła Ukraina i tej Ukrainy wiernem, kochającem dzieckiem został do śmierci.

Wprawdzie pisano już o Zaleskim dużo, żadna z jego dotychczasowych biografii nie odznacza się dokładnością, żadna nie wyczerpała wszystkich materyałów, rosnących ciągle, z biegiem lat. Pracy tej podjął się p. Stanisław Zdziarki, a owocem jego badań jest obszerne studyum biograficzno-literackie pt. „Bohdan Zaleski".

P. Zdziarski uwzględnił w swojem dziele wszystkie źródła, tyczące się B. Zaleskiego. Zbadał nietylko istniejące już biografie, rozrzucone w broszurach i podręcznikach historycznych, lecz kopał się także z cierpliwością kreta przez górę czasopism z doby emigracyjnej, przez pyły i kurze korespondencyi prywatnych, przez stosy biografii innych poetów, pozostających z Zaleskim w bliższych stosunkach.

Dzieło swoje podzielił p. Zdziarski na jedenaście rozdziałów, z których każdy obejmuje jeden, zamknięty w sobie okres z życia Zaleskiego. W pierwszym rozdziale zawarł „wiek młodociany", w drugim pobyt Bohdana w Warszawie i w Królestwie, w trzecim „pierwszy okres jego twórczości", w czwartym „pierwsze lata na emigracyi" i t. d. w porządku chronologicznym. W rozdziale ostatnim naszkicował pogląd ogólny na jego twórczość, na rodzaj i rozmiary jego talentu.

Bardzo słusznie położył p. Zdziarski w rozdziale pierwszym główny nacisk na pobyt Zaleskiego w chacie znachora Zuja, pobyt ten bowiem wpłynął stanowczo na całą działalność poetycką „słowika ukraińskiego".

Wiadomo, że mały Bohdanek, przestając dużo z psami, nabawił się od nich jakiejś uporczywej choroby skórnej. Gdy nie można go było wyleczyć środkami domowemi z tej przykrej słabości, oddano go na kuracyę do wiejskiego znachora. Ośmnaście miesięcy przebywał Zaleski w chałupie starego Zuja, a te ośmnaście miesięcy, spędzone wśród chłopów ukraińskich, wśród ich pieśni, legend, dum i dumek, wśród tej całej smętnej poezyi stepowej, wycisnęły niezatarte piętno na jego życiu i twórczości. Córki Zuja śpiewały na wieczornicach przy wtórze teorbanów, starcowie opowiadali o dawnych bojach Ukrainy z Ordą, z Turcyą, z Lachami — młodzi słuchali z iskrzącemi się oczyma. Słuchał i mały Bohdanek i pił duszą wrażliwą smutek zadumanych stepów i marzył razem z Kozakami o rycerskich czynach Iwana Kozowczenka, Teodora Bezrodnego, „ojca" Bohdana Chmielnickiego i innych. Czego się napił w chacie znachora Zuja, czem się odurzał, zachwycał, to wlał później w swoje dumy i dumki. Zaleski był do śmierci prawie tylko „słowikiem ukraińskim".

Dokładne streszczenie biografii Zaleskiego przekroczyłoby ramy naszego sprawozdania. Kto ciekaw szczegółów, ściągających się do życia śpiewaka ukraińskiego, znajdzie je w dziele p. Zdziarskiego, a znajdzie ich dużo, autor bowiem nie szczędził pracy i zachodów, aby ich zebrać jak najwięcej i jak najwiarogodniejszych.

Więcej niż biografia poety zajmuje szerszą publiczność ogólna charaktertystyka twórcy „Przenajświętszej rodziny".

Zaleski nie należał do tych gwiazd promiennych, które wschodzą na horyzoncie literackim, otoczone odrazu pełną aureolą swoich blasków. Nie zabłysnął on na samym wstępie światłem oślepiającem. Szedł z początku nieśmiało torem nieubitym, nieutartym jeszcze. Rozwijał wolno, stopniowo własne skrzydła, — macał, szukał drogi, odpowiadającej jego talentowi. W walce romantyków z klasykami nie brał żadnego udziału, chociaż mieszkał w chwili najgorętszej w Warszawie, gdzie Osiński nie szczędził nowemu prądowi drwin i śmiałych zaczepek. Przyczynę tej obojętności Zaleskiego na walkę polemiczną widzi p. Zdziarski w jego łagodnym, miękkim temperamencie, czującym wstręt do wszelkiej stanowczości.

Kiedy się inni kłócą z zawziętością stronniczą, Zaleski kształci niewprawną ręką w kreśleniu oryginalnych obrazów, w dobieraniu barw i kolorów, szuka nowych, świeżych tonów dla swojej gęśli. A znalazłszy, czego pragnął, „rzucił w „Rusałkach" całą skalę melodii i akordów, całą strugę świetlistych promieni, w których blasku ukazała się, jak wizya czarowna, nadobna postać kochanki Zoryny".

Opuściwszy kraj, milczał Zaleski przez pewien czas. Nowi ludzie, nowe ziemie, nowe obyczaje zaprzątnęły jego wyobraźnię. Dopiero, gdy przywykł do odmiennego otoczenia, skupił się znów i wówczas wytrysnął z niego potok dźwięcznego słowa, potok szumiący. Wówczas to stworzył „Ducha od stepu," arcydzieło swojego życia. Do tej wysokości natchnienia, na jakiej stanął w „Duchu" nie doszedł, zdaniem p. Zdziarskiego, już nigdy później. „Czerpał on natchnienie swoje w dalszym ciągu nieustannie z jednej, zawsze tej samej krynicy, przeto nie dziw, że skąpe źródło musiało się w końcu wyczerpać aż do dna. Wszystkie tematy były obrobione, wszystkie motywy zużyte. Stąd owa powolna stagnacya w jego twórczości".

Mniema p. Zdziarski, iż Zaleskiemu brakło daru obserwacyi. Posiadał on za to w wysokim stopniu siłę uczucia, lecz i w tym kierunku był jednostronny. „Skarżył się ciągle na swoją niedolę, na tęsknotę, która go pędzi do stron rodzinnych", powtarzając niezmiennie te same żale.

Mimo jednostronności swojego talentu, należał Bohdan Zaleski do najsławniejszych poetów chwili. Zaćmiewał on blaskiem swoim takich orłów, jak Krasiński i Słowacki. W czasopismach owego czasu nie znalazł p. Zdziarski ani jednej krytyki w rozumieniu właściwem. Wszystkie sprawozdania o jego dziełach rozbrzmiewały zawsze tylko bezwzględną pochwałą, wielbiły go, zachwycały się wszystkiem, co wychodziło z pod jego pióra. Adam Mickiewicz głosił o nim z katedry paryskiej: „Zaleski jest niewątpliwie największym ze wszystkich poetów słowiańskich. Rzucił on pęk kwiatów na zakończenie igrzyska prostych słowian i będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze mieli miłować sztukę dla sztuki samej, wyczerpał bowiem wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko, co jest najświetniejszego w kolorycie, w najdelikatniejszych odcieniach". Sąd takiego mocarza, jak Mickiewicz, rozlał się oczywiście szeroką po kraju i znalazł wszędzie posłuch bez protestu.

Powód tej przesady w ocenie znaczenia Zaleskiego widzi p. Zdziarski słusznie w potrzebach, w upodobaniach chwili.

Bohdan Zaleski śpiewał dla swojej chwili, a poparł go przyjaciel Mickiewicz, a za Mickiewiczem inni. Przeto stał się „największym poetą słowiańszczyzny", większym od Krasińskiego, Słowackiego, Puszkina.

Dziś przychodzi p. Zdziarski i powiada: „Zaleski został w drugim rzędzie naszych poetów, bo nie potrafił się ustrzedz błędów, nie zdołał pozbyć się miękkości i dobroci, która w poezyi jest najszkodliwszym przymiotem, nie zdołał czerpać świeżych pomysłów, któreby mogły zająć uwagę czytelnika, olśnić ją i przyciągnąć do siebie, bo wreszcie — nie pozbył się monotonności i jednostajności dźwięków swej gęśli, która z czasem musiała znużyć czytelnika, obniżyć wartość jego dzieł, ich znaczenie, a zarazem znaczenie poety".

Trochę to za ostry sąd. Krytyka popełnia zwykle jeden grzech, przykłada mianowicie do autorów dawniejszych miarę swojego czasu. Chcąc zaś być sprawiedliwym, trzeba każdego pisarza ustawić w świetle jego własnej epoki. Tylko na tej drodze dochodzi się do wyroków możliwie, po ludzku bezstronnych.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 16 lipca.

(Z). I dziś mieliśmy zwyżkę na rachunek żniw węgierskich. Skorzystały z niej przedewszystkiem akcye tych przedsiębiorstw transportowych, które przewożą zboże węgierskie, a więc akcye Statsbahnu i innych kolei czeskich, akcye Towarzystwa żeglugi na Dunaju, a trochę także akcye kolei południowej. Także akcye banków węgierskich i rozmaite lokalne walory węgierskie były przez spekulacyę faworyzowane. Natomiast dla przemysłowych walorów spekulacya nie była dziś łaskawa. Najdotkliwiej spadły akcye przedsiębiorstw naftowych. Mówią bowiem, że wobec nagromadzenia ogromnych zapasów ropy i trudności korzystnego jej spieniężenia zarząd kopalni Towarzystwa schodnickiego zamierza ograniczyć bardzo znacznie produkcyę ropy, podobno o 30%. Zaniedbane były także walory żelazne. Alpiny spadły o 1½ korony, pomimo, że zarząd Towarzystwa alpejskiego otrzymał już podobno zapewnienie, iż dostanie pozwolenie na emisyę 60 tysięcy nowych akcyi.

Obniżył się wreszcie także kurs akcyi kopalń węgla, co przypisać należy temu, że zarząd kolei państwowych w kontraktach o dostawę węgla na rok przyszły obniżył ceny o 1 koronę 20 halerzy do 2 koron na 1.000 kilogramach. Po tej obniżonej cenie zakontraktowały koleje państwowe 846.000 tonn węgla brunatnego i 451.000 tonn węgla kamiennego.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 680·00, węg. Zakł. kredyt. 708·00, Anglobanku 279·50, Unionbanku 533·00, Länderbanku 418·50, Bankvereinu 454·00, Bodencredit 918·00, Gal. Banku hip. 545·00, Statsbahny 697·00, Lombardy 67·50, Kol. Elbethal 449.25, Północnej 5700, Czerniowieckiej 568·00, Alpiny 401·50, Rima Muranyi 498·50, Praskiego Tow. żel. 1560, Fabryki broni 333·00, Tureckie tytoniow. 294·00, Oblig. węg. indemniz. 97·75, Renta majowa 101·70, Austr. renta koronowa 99·65, Węgier. renta koronowa 97·90, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·60, 4% Listy Banku krajow. 97·00, 4½% Listy Banku krajow. 101·75, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, 4½% Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·30, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·35, 4% Poż. m. Lwowa 94·25, Losy tureckie 112·25, Marki 117·12, Ruble 253.00.

Z kolei. Z dniem 1 lipca b. r., a o ile podwyższenie cen przewozowych ma nastąpić, z dniem 1 sierpnia b. r. wchodzi w życie dodatek XII do 1 zeszytu II części taryfy.

Z dniem 1 lipca b. r., a o ile podwyższenie cen przewozowych ma nastąpić, z dniem 1 sierpnia b. r. wchodzi w życie dodatek VII do 1 zeszytu II części taryfy.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Rzym 17 lipca Konsul niemiecki w Wenecyi otrzymał od cesarza niemieckiego z Bergen telegram, polecający mu wyrazić rządowi włoskiemu najżywsze współczucie cesarza z powodu ciężkiego nieszczęścia, które dotknęło Wenecyę i sztukę włoską. Także francuski ambasador otrzymał od swego rządu podobne polecenie.

Berlin 17 lipca. *Reichsanzeiger* donosi, że wychodzącemu w Krakowie czasopismu *Przegląd wszechpolski* odebrano debit pocztowy w Niemczech na przeciąg 2 lat.

Petersburg 17 lipca. Car zamianował ks. Ludwika Napoleona, dotychczasowego komendanta gwardyjskiego pułku ułanów im. carowej Aleksandry, komendantem kaukaskiej dywizyi kawaleryi.

Paryż 17 lipca. Ordenstein, ofiara zamachu morderczego w wagonie I klasy, zmarł wczoraj przed południem.

Chalons sur Saône 17 lipca. Wczoraj między 6 a 7 godziną wieczór szalała tu silna burza, wyrywała drzewa z korzeniami i wiele domów uszkodziła. Kilka parowców na Saônie rozbiło się, a jeden został zniszczony do szczętu. Wskutek urwania się chmury, woda zalała ulice i wtargnęła do sklepów.

Petersburg 17 lipca. Kontyngent rekruta na rok 1902 oznaczono na 318,645 ludzi.

Wenecya 17 lipca. Składki na odbudowanie dzwonnicy św. Marka wynoszą już dotychczas milion lir.

Londyn 17 lipca. Według biuletynu król zniósł bardzo dobrze podróż do Cowes. Przeniesienie, oraz jazda, nie zaszkodziły choremu. Noc spędził król dobrze, a zmiana powietrza sprawiła pewne polepszenie.

Tunis 17 lipca. Pewien żołnierz nazwiskiem Chiboule napadł na wartę, pilnującą tej części koszar, w której był magazyn prochu. Żołnierz stojący na warcie strzelił i położył napastnika na miejscu trupem. Z dotychczasowego śledztwa wynika, że Chiboule chciał podpalić skład prochu.

Rzym 17 lipca. *Patria* donosi: kilka pism doniosło o ułożonym rzekomo w Neapolu spisku na życie sułtana. Z śledztwa wdrożonego przez władze okazało się, że ta wiadomość jest bezpodstawna.

Kronsztad 17 lipca. W obecności cara i króla włoskiego robił wczoraj Marconi próby ze swoim telegrafem bez drutu. Jeden aparat postawiono na nosie okrętu włoskiego „Carlo Alberto" drugi na tyle. Nadano depeszę opiewającą: *Vive le roi d'Italie, vive l'empereur de Russie;* próba powiodła się doskonale. Car winszował Marconiemu i szampanem wzniósł toast na cześć Włoch.

Wiedeń 17 lipca. W celu prędkiego dostarczenia robót krajowym fabrykom maszyn, zezwoliło ministerstwo kolejowe dyrekcyom kolei państwowych poczynić już teraz zamówienia przewidziane kredytem inwestycyjnym na rok 1903.

Petersburg 17 lipca. Minister spraw zagranicznych Lambsdorf wydał wczoraj bankiet na cześć Prinettiego.

(Depesze popołudniowe).

Kraków 17 lipca. Sekcya ekonomiczna Rady miejskiej uchwaliła wczoraj wezwać magistrat, aby w jak najkrótszym czasie zbadał stan wieży kościoła N. P. Maryi i przedłożył odpowiednie wnioski ze względu na bezpieczeństwo publiczne.

Kraków 17 lipca. Rafinerya w Maryampolu, która uległa klęsce pożaru, była ubezpieczona w węgierskiem Towarzystwie asekuracyjnem i w Towarzystwie Foncière. (Jest to fakt znamienny, że polski zakład przemysłowy nie był asekurowany w polskiem Towarzystwie ubezpieczeń, mianowicie w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń, ale ubezpieczył się w Towarzystwach zagranicznych. Ta okoliczność, że dobrze się stało, iż w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń nie był asekurowany, bo jego pożar nie naraził Towarzystwa na wielkie straty, nie może być okolicznością łagodzącą dla dyrekcyi zakładu w Maryampolu, albowiem wszystkie towarzystwa asekuracyjne nawzajem reasekurują ważniejsze i bardziej niebezpieczne objekty, więc nasze Towarzystwo ubezpieczeń reasekurowałoby tę fabrykę w Maryampolu i nie straciłoby wcale na wczorajszym pożarze. *Przyp. Red. Przeglądu*).

Kraków 17 lipca. W Akademii sztuk pięknych zakończył się dziś rok szkolny i otwarto wystawę prac uczniów. Grono profesorów przyznało następującym uczniom nagrody: W szkole rysunków prof. Cynka: srebrny medal otrzymali: Podgórski, Rosenblum; bronzowe: Zarudzki, Witkowski, Ostruszka; pochwalną wzmiankę Chwałowski; nagrodę pieniężną Podgórski. W szkole rysunków prof. Unierzyckiego medale srebrne: Brandl i Karczmarski; bronzowe Wiertak, Pawłowski, Liśkiewicz; pochwalną wzmiankę Deligtisch i Wojtyczka; nagrody pieniężne Brandl i Karczmarski.

W szkole rysunków prof. Mehoffera, med. srebr.: Żuk, Bestecki, Żegociński; bron. Wrzesiński, Minkowski; pochwalną wzmiankę Żuk, Bestecki; w szkole malarstwa prof. Wyczółkowskiego: med. sr. Buraczek, Pautsch, Bujka, Piekarski; bron. Pichor i Krasnodębski; nagrody pieniężne Pichor i Krasnodębski. W szkole malarstwa prof. Aksentowicza med. sr. Machalski; bron. Rogalski; pochwalną wzmiankę Paczowski; nagr. pienięż. Machalski; w szkole krajobrazów Stanisławskiego med. sr. Szczygliński, Bujko, Markus i Neuman; bronz. Struszkiewicz, Florkiewicz i Rosenblum; nagrody pienięż. Szczygliński, Bujko, Neuman, Rosenblum. W szkole rzeźby prof. Laszczki med. srebr. Rudlicki, Rembowski; bronz. Stempowski, Lewicki, Hochman; pochwalną wzmianką Nordzikowski; nagr. pien. Rudlicki, Rembowski, Hochman.

Waszyngton 17 lipca. Sąd wojenny w Manilli, który rozpatrywał skargi na okrucieństwa, popełniane przez jenerała Smitha, zawyrokował, że władze przełożone mają dać Smithowi naganę. Prezydent Roosevelt udzielił jenerałowi tej nagany i przeniósł go w stan nieczynny. (Jenerał Smith, chcąc wydobyć zeznania od jeńców filipińskich, poddawał ich najsurowszym torturom. Przeważnie postępował w ten sposób, że kładł jeńców na ziemię, wstawiał w usta rurkę i lał przez nią po kilka wiader wody. Wielu jeńców umierało podczas tortur. Za całą karę przeniesiono go w stan nieczynny. Nieproporcyonalnie łagodna kara w porównaniu do nikczemnej zbrodni. — Przyp. Red. *Przegl.*)

Petersburg 17 lipca. *Nowoje Wremia* zamieszcza znamienny artykuł o bitwie grunwaldzkiej, kończący się temi słowy: Kto wie, jeśli Niemcy pójdą dalej po obranej drodze, to może za lat 8 w 500 letnią rocznicę, świat słowiański odezwie się z zupełnie innym zapałem i inną świadomością w dzień wielkiej rocznicy.

St. Etienne 17 lipca. Mieliśmy tu wczoraj silną burzę i oberwanie się chmury. Ulicami płynęły strumienie wody; ruch tramwajowy musiał być przerwany. Szkoda jest znaczna. Cztery osoby utonęły, porwane wirem rzeki, która wystąpiła z brzegów.

Wiedeń 17 lipca. *N. Fr. Presse* donosi, że wczoraj ukończyli fachowi referenci ministeryalni obu rządów obrady nad kwestyą weterynaryjną w zakresie ugody austro-węgierskiej; przyszło do porozumienia tak co do kompetencyi obustronnych władz weterynaryjnych, jak co do życzenia Austryi rozszerzenia węgierskiego obszaru kontumacyjnego. Należy oczekiwać już niebawem zgody obu rządów na projekt ugodowy.

Petersburg 17 lipca. Rosyjska agencya telegraficzna zaprzecza wiadomości jednego z zagranicznych dzienników o rozruchach w Rostowie nad Donem. Według informacyi, zasięgniętych przez agencyę na miejscu, wcale spokoju nie naruszono.

Paryż 17 lipca. *Gaulois* ogłasza pismo kilku posłów opozycyjnych do prezesa gabinetu Combes, zawierające zredagowany w ostrych słowach protest przeciw zamykaniu wolnych zakładów naukowych.

Wiedeń 17 lipca. Członek Izby panów Emil hr. Baworowski skazany został za znaną sprawę gry hazardowej w Jockej klubie na karę pieniężną 1000 koron, względnie 48 godzin aresztu.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 17 lipca. Hr. W. Dzieduszycki z Jezupola. G. Lipczyński z Królestwa Pol. T. Fudakowski z Kijowa. E. Levy z Paryża. J. Falk ze Stanisławowa. A. Liebermann z Borysławia. J. Bzowski z Radwan. L. Rothwein z Krakowa.

HOTEL FRANCUSKI.

Przyjechali dnia 17 lipca. M. Korolowie z Żółkwi. A. Malik z Bolechowa. N. Jaworska i N. Czadek z Przemyśla. J. Höfner, H. Ziska i L. Lewin z Wiednia. A. Wolniewicz z Olszy. N. Fahlbömer ze Skolego. W. Ochocy z Kalinowczyzny. S. Kuszczak z Moskwy. M. Czekuliński z Krosna. R. Weise z Drezna. J. Lazarewicz z Jazłowca. H. Samborska z Niziny. M. Żywicka z Mielca. M. Filipowska z Bunkowic. J. Czuczkiewicz z Romanowa. G. Gustakowski z Warszawy.

HOTEL EUROPEJSKI

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 17 lipca. R. Romańczuk ze Skolego. W. Trampler z Brzeżan. M. Madeyska z Rosyi. St. Nitsch i H. Jarocki z Krakowa. A. Urich z Wiednia. J. Pełczyński z Królestwa. A. Piaskowski z Bochni. J. Pieniążek z Lipinki. A. Przyłuski z Podola ros. S. Maniewski z Ochrymowa.

Wiedeń 17 lipca. (Giełda towarowa). Cukier 16·60 (spokojnie). Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (bez zmiany) 38·40.

Berlin 17 lipca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·40. Spirytus 00·00.

Paryż 17 lipca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·22 Mąka („Fleur de Paris") 29·20.

Frankfurt 17 lipca. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 214·40. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000.00. Disconto 185·25. Laura 000.00 excl. kupon.

Wiedeń 17 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 7·17—7·18, na wiosnę 0·00—0·00; żyto na na jesień 6·23—6·24, na wiosnę 0·00—0·00, kukurudza na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, lipiec-sierpień 5·08—5·09, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·16—5·18, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·69—5·70, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na pień-wrzesień 10·85—10·95. Olej rzepakowy 33—34. Tendencya: w owsie silna, zresztą ustalona. Pogoda: pochmurno.

Budapeszt 17 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 6·82—6·83; żyto na październik 5·85—5·86; owies na październik 5·30—5·31; kukurudza na lipiec 0·——0·—, na sierpień 4·81—4·82, na maj 4·84—4·85. Rzepak na sierpień 10·40—10·50. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna słaba. Tendencya: spokojna. Pogoda: piękna.

Wiedeń 17 lipca. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880	3%	266·75
„ „ „ „ „ 1889	3%	263·—
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k.	4%	—·—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł.	5%	286.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	255.—
Pożyczka serbska prem. po 100 fr.	2%	86.—
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.		112·10

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19·25, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 433.—, Clary 40 zł. m. k. 189.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 32.50, Losy m. Krakowa 20 zł. 74.50. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 71.—, Ofen 40 zł. 193.00, Palffy 40 zł. m. k. 190.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 56.00, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 28·50. Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 75.—, Salma 40 zł. m. k. 235.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 76.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 264.00. Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 423.00.

Lwów 17 lipca. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 564.00 do 572.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 540.00 do 555·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 350.— do 380.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do —·—, 4 proc. los. w 60 lat 95.80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.40 do 102.10 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·30 do 97·00. 4 proc. los w 41 i pół latach 97.— do —·—, 4 proc. los w 56 lat 96·80 do 97.00.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 99·00 do 99·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·30 do 103·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 96·80 do 97·50. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 97.00 do 97.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·00 do 94·70, 4½% po 200 koron 100·00 do 100·70.

Monety. Dukat cesarski 11·22 do 11·34. Napoleondor 19·10 do 19·30. Rubel rosyjski papierowy 252.50 do 254.50. 100 marek niemieckich 117·10 do 117·80.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·35 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 8·36.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9·20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 3.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 8·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

57)

MATECZKA

POWIEŚĆ

Pawła D'Algremonta.

(Ciąg dalszy).

Studenci, widząc tak piękną dziewczynę, stojącą na ulicy, zatrzymywali się, a niektórzy, źle tłómacząc sobie jej obecność o tak późnej porze w miejscu podejrzanem, usiłowali zawiązać z nią rozmowę.

Ale ona odpowiadała z płaczem:

— Zostaw mnie pan... Nie zasługuję na zniewagę. Szukam brata, który nie powrócił dziś do domu!

Ton jej mowy był tak szczerym, wyraz rozpaczy w oczach tak wzruszającym, że wierzyli jej i odchodzili.

Jeden tylko uparł się pozostać przy niej, lecz nadszedł Jakób i po krótkiej, ożywionej rozmowie zdołał usunąć i jego.

— Proszę, niech pani wraca do domu — rzekł wtedy malarz — jest już późno, nie wypada pani zatrzymywać się pod drzwiami takich zakładów. Widziała pani, na co można być narażoną.

— Cóż to znaczy, obyśmy tylko odszukali brata.

— Może on już oddawna wrócił do domu.

— Przeczucie mówi mi, że nie. Boże mój, co z nim się stało? Pewnie jaki wypadek! Nie przeżyłabym tego nieszczęścia!

Była utrudzoną, więc podał jej ramię i zwrócił się ku domowi.

Przybywszy do mieszkania, Paulinka pobiegła do pokoju brata.

— Pawełku, czy jesteś? — pytała, zapalając lampę.

Nikt jej nie odrzekł i łóżko okazało się próżnem.

— Nie ma go — zawołała z płaczem. — Przytrafiło mu się jakieś nieszczęście! Jestem chyba przeklętą! Boże mój, Boże, co powie ojciec?

Jakób podprowadził ją do fotelu, usiadł przy niej i uspokajał.

— Niech pani nie rozpacza... Cóż mogło mu się stać, zabawił się tylko za długo u którego z kolegów...

— A może już nie żyje!

— Dlaczego wybiera pani przypuszczenie gorsze niż inne? Dlaczego nie chce pani wierzyć, że zatrzymali go koledzy i że powróci dopiero rano?...

— Nie, nie!... Pawełek jest lekkomyślnym, to prawda, ale ma za wiele serca, by chciał sprawić mi taką przykrość. Tylko choroba mogłaby go powstrzymać.

Wybiła czwarta na gmachu liceum Stanisława.

Robił się dzień i turkot wozów zapowiadał rozpoczynający się ruch na ulicach.

— Niech pani idzie na spoczynek i stara się zasnąć choć na parę godzin.

— Nie mogłabym zamknąć oczu — odrzekła nieszczęśliwa dziewczyna.

— Wszystko jedno. Leżąc, uspokoi się pani nieco.

Powstał i chciał odejść, lecz Paulinka powstrzymała go.

— Niech pan zostanie, nie położę się.

— Ależ nie wypada, powinienem odejść.

— Dlaczego? — zapytała naiwnie.

— Dlatego, że wkrótce rozpocznie się ruch w domu. Co powiedzieliby, widząc mnie wychodzącego z mieszkania pani o tej porze?

W rozpaczliwem położeniu swojem Paulinka zapomniała o tem.

— Powiedzieliby — odrzekła, podając mu rękę — że masz pan serce złote i że jesteś pan pociechą biednej zrozpaczonej.

Oparła głowę na jego ramieniu i dodała:

— Dziękuję ci, mój drogi narzeczony!...

Jakób miał szaloną ochotę przycisnąć ją do serca i pokryć głowę pocałunkami, lecz oparł się pokusie.

Usunął się i rzekł:

— Nieprędko dowiesz się, droga, jak wielce cię kocham!... A teraz usłuchaj swego przyszłego pana i jeżeli chcesz mu dać dowód miłości, jakiej żąda od ciebie, połóż się i spocznij.

— Dobrze — odrzekła.

Pożegnał ją i wrócił do swej pracowni.

Utrudzona Paulinka wkrótce zasnęła snem głębokim, lecz Jakób nie mógł zamknąć oczu.

Gdy zrobił się dzień zupełny, ubrał się i wyszedł.

Przypominały mu się ciągle słowa Paulinki: „Może Pawełek już nie żyje!"

W Paryżu wszystko jest możliwe i chociaż Jakób był przekonanym, że Paweł w towarzystwie kolegów wesoło bawi się w jakiej knajpie, mimo to udał się przedewszystkiem do Domu przedpogrzebowego.

Wszedł z sercem ściśnionem i z niepokojem przyglądał się spoczywającym na płytach marmurowych nieszczęśliwym ofiarom wypadków lub zbrodni.

Ale tego rana były tylko dwa ciała: jakaś stara kobieta, przejechana przez omnibus i jakiś robotnik znaleziony w Sekwanie.

Uspokojony Jakób pobiegł do prefektury policyi, gdzie od znajomego sobie starszego urzędnika, niegdyś przyjaciela jego ojca, otrzymał żądane wyjaśnienia.

Chociaż Pawła nie było w Domu przedpogrzebowym, to mógł być jednak ofiarą jakiegoś wypadku, lecz w takim razie byłby pomieszczony w jakim szpitalu, a wtedy prefektura byłaby o tem powiadomioną. Tymczasem nic podobnego nie stało się ani przez cały dzień wczorajszy, ani w nocy.

Jakób doszedł więc do przekonania, że pierwotne przypuszczenie jego było trafnem.

Chłopak zahulał się i ze wstydu nie śmiał pokazać się siostrze.

Powrócił na ulicę Delcambre, gdzie zastał Paulinkę zrozpaczoną w najwyższym stopniu.

Opowiedziawszy jej rezultat swych poszukiwań, dodał:

— Nic się nie stało Pawłowi, gdyż powiedzianoby mi w prefekturze. Ale być może, że z zabawy udał się wprost do szkoły na ulicę Vaugirard. Weźmy dorożkę i jedźmy tam. Jeżeli go nie zastaniemy, to ponieważ pani nie może pozostawać dłużej w takim niepokoju, zawiozę panią do przełożonej, która poradzi co robić i zwłaszcza pocieszy skuteczniej, niż ja potrafiłbym.

— Mylisz się pan pod tym względem.

Nie mniej jednak zrozumiała, że ma słuszność i zaczęła się wybierać.

Zmusił ją posilić się pozostałą z dnia poprzedniego kolacyą, poczem zeszli na dół.

— Czy warto tak się martwić, panno Paulino — rzekła odźwierna, widząc ją wychodzącą. — Co dziwnego, że chłopak w tym wieku zabawił się z kolegami? Niech panna zmyje mu dobrze głowę, a nie zrobi tego więcej. Co mam powiedzieć mu, gdyby przybył przed powrotem panienki?

— Że doprowadził mnie do rozpaczy i że pojechałam do przełożonej Sióstr Nieszczęśliwych.

— A matce Weronice?

— To samo. Ale powrócę niedługo.

W szkole przy ulicy Vaugirard byli już zebrani uczniowie wszyscy, brakło tylko Pawła.

Nadto brat Salwator oświadczył, że chłopak od niejakiego czasu opuszczał się stale, przychodził późno, wieczorami niekiedy nie zjawiał się wcale i przyjaźnił się z najgorszymi uczniami. Nie mówił zaś dotychczas o tem siostrze z powodu, że przełożona kazała mu przed nią milczeć, gdyż sama miała upomnieć swego protegowanego.

Wszystko to nie zwróciło brata Paulince, a zmartwiło ją jeszcze więcej.

Do klasztoru było dość daleko, lecz Jakób nie pozwolił Paulince jechać tam tramwajem. Nie chciał, by zapuchniętemi od płaczu oczami zwracała na siebie uwagę.

Usadowił więc ją w dorożce i dał woźnicy adres przełożonej.

Podczas przejazdu Paulinka dręczyła się najrozmaitszemi przypuszczeniami.

Ale najwięcej przerażała ją myśl, że Paweł mógł się dostać w ręce księcia Grand-Croix, że został wciągnięty w jakąś zasadzkę i może zamordowany.

Jeżeli zaś katastrofa ta nastąpiła, to czyż nie z jej winy, z braku dostatecznej opieki?

Nabijała sobie tem głowę i nie chciała słuchać pocieszających słów Jakóba.

— Tak jest — myślała Paulinka — źle uczyniłam, żem nie zwierzyła się przed przełożoną ze wszystkiego.

Wreszcie dorożka zatrzymała się przed klasztorem.

— Ach jesteś przecież! — zawołała stojąca w drzwiach siostra Marya Magdalena. — Chodź prędzej, nasza czcigodna matka kazała mi jechać po ciebie.

Ujęła jej rękę i bez dalszych wyjaśnień wprowadziła ją do klasztoru.

Jakób odjechał do domu.

Przełożona spostrzegłszy Paulinkę bladą, zmienioną, ledwie trzymającą się na nogach, nie mogąc ze wzruszenia sama przemówić słowa, przycisnęła ją do serca.

— Paweł opuścił mnie — jęknęła dziewczyna. — Pozostaje mi tylko umrzeć.

Przełożona pociągnęła ją za sobą do parlatoryum, gdzie wskazała stojącego przy kominku płaczącego Pawła.

(Ciąg dalszy nastąpi)

---

†

Maciej Lachowski

em. urzędnik c. k. poczt i telegrafu

zmarł po długiej a ciężkiej słabości, opatrzony św. Sakramentami dnia 16 lipca 1902, w 73 roku życia.

Pogrzeb odbędzie się w piątek dnia 18 lipca o godzinie 6 po południu z ulicy Łyczakowskiej l. 86 na cmentarz Łyczakowski, na który stroskana żona z dziećmi, krewnych, znajomych i pobożnych chrześcian zapraszają.

Lwów dnia 16 lipca 1902.

„CONCORDIA" A. Kurkowski ul. Sobieskiego l. 10.

Ogłoszenie.

Celem wykonania budowy kanału publicznego w ul. Św. Zofii odbędzie się rozprawa ofertowa w miejs. Urzędzie budowniczym dnia 19 lipca b. r. tj. w sobotę o godz. 11tej przedpołudniem.

Warunki ogólne i szczegółowe tej budowy, plany i wykazy poszczególnych robót są do przejrzenia tamże w godzinach urzędowania.

Z miejs. Urzędu budowniczego.

Lwów dnia 15 lipca 1902 r.

L. 5186/02.

Kulparków dnia 9 lipca 1902.

Ogłoszenie licytacyi.

Dla krajowego zakładu obłąkanych w Kulparkowie potrzeba od 1 sierpnia 1902 do 31 grudnia 1903, około 4.500 kg masła niesolonego i solonego, 4 500 kg. smalcu, 12.000 kg. słoniny.

W tym celu rozpisuje się licytacya przez oferty.

Bliższego wyjaśnienia udzieli Zarząd zakładu w godzinach urzędowych gdzie można przejrzeć warunki, na podstawie których kontrakt zawartym zostanie.

Oferty opieczętowane marką na 1 koronę ostemplowane przy dołączeniu wadyum 5 pr. od całej rocznej dostawy składać należy w kasie zakładu do dnia 26 lipca 1902, w dniu zaś następnym t. j. dnia 27 lipca 1902 o godzinie 10 przed południem odbędzie się w obecności delegata Wydziału krajowego otwarcie ofert.

Przyjęcie oferty zależeć będzie od postanowienia Wydziału krajowego, któremu przedłożone zostaną wszystkie oferty do wyboru.

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza